# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata wynosi:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

**Wychodzi każdej soboty.**

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.**
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

**Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

Rok VI. Kraków, 30 stycznia 1909. Nr 5.

## Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu.

(Treść na str. 2.)



**TREŚĆ NUMERU:** Bolesna strata. — Śmierć na posterunku. — Francuzi w Czechach. — Zgon artystki. — Udoskonalone narzędzie śmierci. — Szpieg serbski w Borysławiu. — Pożegnanie konsula austryackiego w Warszawie. — Żywcem pogrzebani. — Katastrofa w kościele. — Armia padyszacha i t. d.



**Na czatach:** Pozycye czarnogórskie, dominujące nad zatoką i twierdzą kotorską.

## Nieszczęśliwy wypadek na polowaniu.

(Do illustracyi tytułowej).

Miła rozrywka, jaką jest szczególnie w porze zimowej polowanie, staje się bardzo często przyczyną tragicznych wypadków, będących najczęściej następstwem nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Rzadziej zdarza się, iż skutkiem fałszywego rozstawienia myśliwych na stanowiskach, przypadkowo postrzeli jeden myśliwy drugiego, wina jego jest wtedy minimalną, któż jednak wróci zdrowie lub życie postrzelonemu i kto nagrodzi cierpienia moralne niewinnemu sprawcy nieszczęścia?

Podobny wypadek miał miejsce w ubiegłym tygodniu w Turwi w Wielkopolsce, majątku Zygmuntu Chłapowskiego. Przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności zastrzelił p. Zygmunt Chłapowski młodego p. Kazimierza Mańkowskiego, serdecznego swego przyjaciela. Pomimo natychmiastowej pomocy, śmierć nastąpiła w godzinę po wypadku. Mimowolny sprawoa był tak przejęty okropnym wypadkiem, że chciał targnąć się na własne życie, przemocą tylko powstrzymano go od tego zamiaru. Śmierć młodego człowieka, rokującego najświetniejsze nadzieje, wywołała w całem społeczeństwie polskiem nadzwyczaj przygnębiające wrażenie.

Ś. p. Kazimierz Mańkowski, syn Wacława i Antoniny z Chłapowskich, urodzony w r. 1882 w Krakowie, tutaj i we Wrocławiu uczęszczał do gimnazym, poczem zapisał się na wydział agronomiczny w Monachium i Krakowie. Po ukończeniu studyów osiadł w rodzinnej Brodnicy i poświęcił się gospodarstwu, zaletami umysłu i serca jednając sobie sympatyę wszystkich, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim bezpośrednio. Od niedawna wszedł w nowy zakres obowiązków, rozpoczynając pracę społeczną na zagrożonej ziemi wielkopolskiej. Zaraz u wstępu do niej zyskał mir i stanął w pierwszym rzędzie tej młodej falangi, którą słusznie szczyci się Poznańskie, to też przedwczesna śmierć, która w tak tragiczny sposób przerwała pasmo jego dni, głęboko przejęła całe społeczeństwo.

Illustracya nasza, sporządzona według nadesłanego nam szkicu, przedstawia smutną chwilę, gdy myśliwi i obława zbiegają się na rozpaczliwe wołanie o pomoc nieszczęśliwego.

---

## Bolesna strata.

Społeczeństwo nasze więcej niż jakiekolwiek inne cenić umie tych ludzi, co nie korzystając z przywilejów, które im dają urodzenie i fortuna, garną się do pracy dla jego dobra i wkładają w nią nietylko swój majątek, ale także swój trud osobisty, swe zdolności, swój zapał. Szczególniej w Królestwie Polskiem członkowie rodzin arystokratycznych



**Jeszcze jedna szkoła zawodowa w Krakowie:** Uczestnicy uroczystości otwarcia szkoły zawodowej z prezydentem miasta, dr. Leo (X) na czele. Fot. W. Lis.

przeważnie świecą swą nieobecnością przy pracy społecznej, tak, że chlubne na tym punkcie wyjątki cieszą się niekłamaną sympatyą i gorącem uznaniem ogółu.

Do takich chlubnych wyjątków należał w ubiegłym tygodniu zmarły śp. hr. Adam Krasiński, or-



**Bolesna strata:** Ś. p. ordynat hr. Adam Krasiński.

dynat opinogórski, którego przedwczesna, a nieubłagana śmierć zabrała z tego świata na szkodę rodziny, licznych przyjaciół osobistych i całego kraju.

Śp. Adam, wnuk wieszcza Zygmunta, a syn śp. Władysława i Róży z hr. Potockich, urodził się 1870 r. w Krakowie. Tam ukończył gimnazyum, a studya uniwersyteckie odbywał w Bonn, Fryburgu i Heidelbergu, gdzie otrzymał dyplom doktora praw za napisanie gruntownej rozprawy doktoryzacyjnej o stosunkach włościańskich w Polsce i reformach dokonanych w ich zakresie między 1764 a 1774 rokiem.

Powróciwszy do kraju, młody ordynat nie założył rąk — na wzór tylu innych młodych arystokratów polskich — lecz zabrał się ochoczo do pracy. Jak stwierdza jednomyślnie prasa warszawska, bez względu na różnice przekonań politycznych, nie było wybitniejszej akcyi społecznej, do której by go nie wzywano i w której nie korzystanoby z jego pomocy moralnej i materyalnej.

Oprócz owocnej działalności w tym kierunku, śp. Adam oddawał się także z prawdziwem zamiłowaniem pracy literackiej. Przed laty sześciu objął naczelne redaktorstwo *Biblioteki Warszawskiej*, którą wspierał materyalnie, później zaś nabył *Gazetę Polską*. Rozumiejąc dobrze, czem być powinno szkolnictwo w rozwoju Królestwa Polskiego, zajął się niem gorliwie. W uznaniu zasług na tem polu, zarząd rozwiązanej „Polskiej Macierzy szkolnej“ powołał go na prezesa Rady nadzorczej. Jako szlachcic polski, choć nie był sam rolnikiem zawodowym, odczuwał śp. Adam ważność rolnictwa i w jego zakresie nie uchylał się od pracy. Między innemi był przez pewien czas prezesem Towarzystwa rolniczego w Płocku, a rozumną administracyą podniósł dobra opinogórskie do kwitnącego stanu.

Wielką zasługę położył zmarły, wydając sam i dopomagając do wydania nieznanych lub krytycznych wydań znanych utworów swego wielkiego dziada. Sam posiadał duży talent literacki, czego dowodem szereg prac oryginalnych pomieszczonych przeważnie w *Bibliotece Warszawskiej*, jak np. piękny utwór pt.: „Trzy szarże“, napisany pod pseudonimem Jana Przyłęckiego, rozprawa o „Ojcze nasz“ Cieszkowskiego, „Nieznany dramat Krasińskiego“ i t. d.

Wobec wypadków ostatnich lat w Królestwie Polskiem, śp. Adam zajął stanowisko takie, które umożliwiało mu dążenie do skupienia wszystkich stronnictw narodowych w pracy dla wspólnych celów.

Krótko powiedziawszy, śmierć śp. Adama hr. Krasińskiego jest dla naszego ogółu w Królestwie stratą naprawdę bolesną, jaką nie tak prędko będzie można powetować.

Zmarły, którego żoną była hr. Wanda, córka hr. Kazimierza Badeniego, nie pozostawił potomstwa. Ordynacya zatem opinogórską i związana z nią bogata biblioteka Konstantego Świdzińskiego w Warszawie, przechodzi na młodszą linię Krasińskich, której głową jest hr. Józef Krasiński, ur. w 1848 r. Ponieważ jednak jest on dotknięty nieuleczalną chorobą — przeto zrzeknie się prawdopodobnie ordynacyi na rzecz swego syna, Edwarda, urodzonego z Heleny z hr. Stdanickich, w 1871 r.

## Śmierć na posterunku.

Ciężka jest u nas dola dziennikarza. Wyczerpująca praca dziennikarska strawić musi najsilniejszy organizm i najczęściej zabija talent literacki, nie dając natomiast choćby zysków materyalnych, jakie są udziałem ludzi zdolnych, poświęcających się za granicą dziennikarstwu. Bardzo też często widzimy,



**Śmierć na posterunku:** Ś. p. Józef Łoziński współredaktor *Przeglądu Porannego*.

jak schodzą do grobu dziennikarze nasi w stosunkowo młodym wieku, nie pozostawiając po sobie nic, oprócz dobrego wspomnienia w gronie zawodowych kolegów, bo ogół nasz, choć odczuwa w całej pełni dobrodziejstwa płynące dlań z dobrze rozwiniętego dziennikarstwa, nie umie dostatecznie cenić tych, co dźwigają cały jego ciężar na swych barkach.

I znów mamy do zapisania ubytek, jaki powstał w szeregach naszego dziennikarstwa przez śmierć śp. Józefa Łozińskiego, członka redakcyi i recenzenta teatralnego warszawskiego *Przeglądu Porannego*.

Śp. Łoziński, wnuk Kraszewskiego, urodził się 1866 r. w Ussolsku pod Irkuckiem, gdzie jego ojciec przebywał w towarzystwie swej żony, jako skazaniec po 63-im roku. Do pióra wziął się bardzo wcześnie, pracując z kolei w *Przeglądzie Tygodniowym*, w krakowskim *Kuryerze Polskim*, w *Głosie Narodu*, a wreszcie, od r. 1899 w *Kuryerze Porannym* zamienionym później na *Przegląd Poranny*. Równocześnie pisał dla sceny. Jego komedya „Jestem literatem“ zdradzała wiele talentu i cieszyła się powodzeniem. Ponieważ śp. Łoziński obdarzony był



**Francuzi w Czechach:** Przywitanie francuskich studentów (sztandar studentów uniwersytetu paryskiego) na dziedzińcu „Vlaszkiego Domu“ w Kutnejhorze.

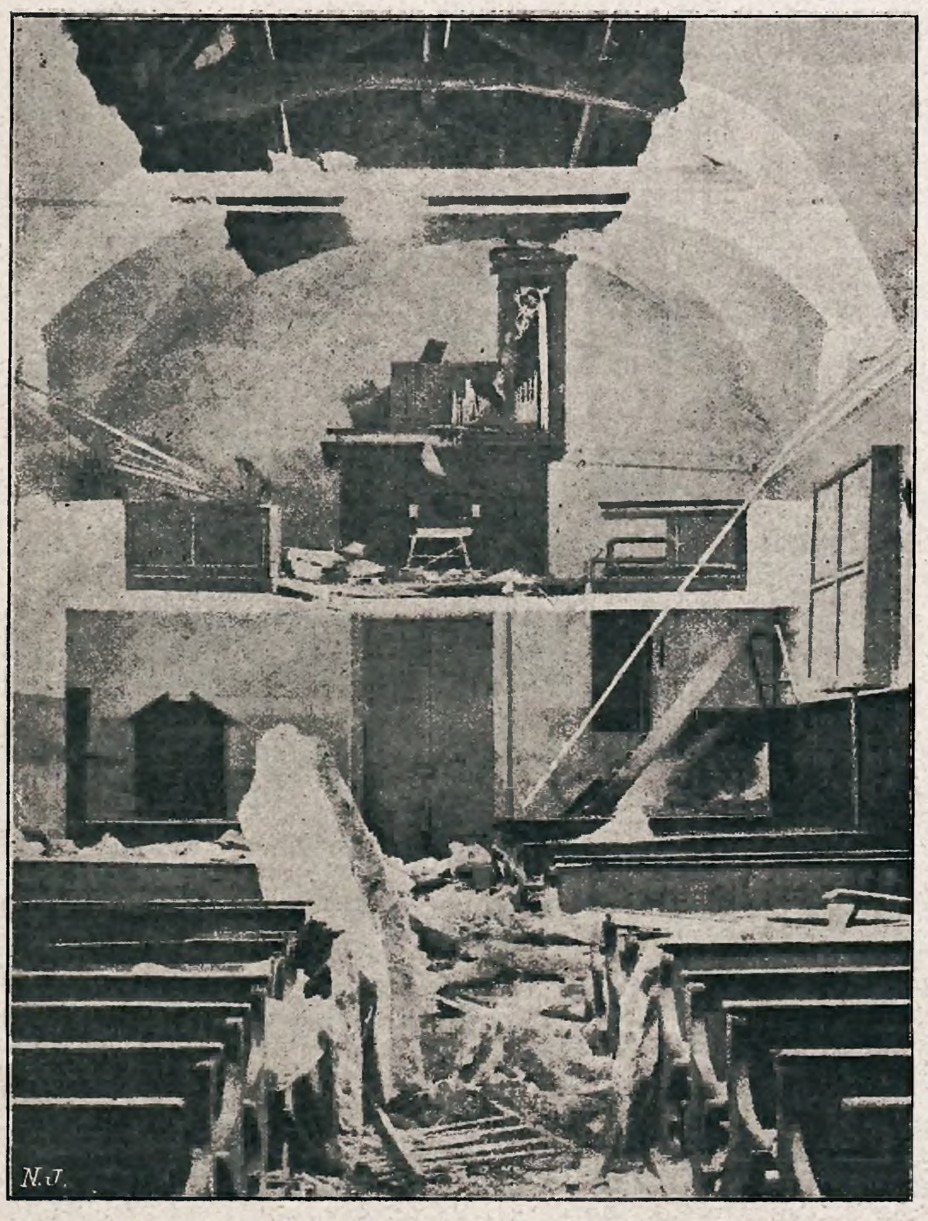


**Zgon artystki:** Ś. p. Aleksandra Trapszowa, artystka dramatyczna teatrów warszawskich.

dużym zmysłem krytycznym, przeto stawiał sam sobie wielkie wymagania, tak, że niewiele występował z pracami oryginalnemi. Natomiast poświęcił się w ostatnich latach wyłącznie krytyce teatralnej i zdobył sobie w tym dziale wybitne stanowisko przez trafność sądu, prawdomówność i wielkie umiłowanie sztuki.

Umarł rzeczywiście, jak żołnierz na posterunku, pracując do ostatniej chwili pomimo groźnej, nurtującej go choroby. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią był na występie Sary Bernhardt i napisał o nim sprawozdanie. Dopiero gwałtowne zapalenie płuc zwaliło go z nóg i położyło kres jego pracy i życia.

Cała prasa warszawska poświęciła zmarłemu który cieszył się niekłamanemi sympatyami, jako zdolny dziennikarz i dobry kolega, gorące wspomnienia.



**Katastrofa w kościele:** Wnętrze zawalonego kościoła w Nax z rozbitym organem.

## Francuzi w Czechach.

Obrotność, z jaką Czesi umieją szukać sobie przyjaciół, godna jest uznania: nam Polakom, przydałaby się ona bardzo. Między innemi kokietują oni gwałtownie w ostatnich latach z Francuzami, co zresztą jest logicznem następstwem ich usilnych, a sięgających swym początkiem pół wieku wstecz, starań o protekcyę i przyjaźń ze strony Rosyi.

Po odwiedzinach praskiej rady miejskiej w Paryżu i rewizycie rady paryskiej, następnie po odwiedzinach studentów czeskich w stolicy Francyi — przyszła teraz kolej na odwiedziny studentów francuskich, którzy w ubiegłym tygodniu wybrali się nad Wełtawę. W ten sposób nawiązują Czesi stosunki z Europą, korzystając oczywiście z sympatyj okazywanych im przez prasę francuską, która nie szczędzi im reklamy w każdym kierunku.

Asumpt do ostatnich odwiedzin Francuzów w Czechach, dała 500-letnia rocznica ogłoszenia tzw. dekretu kutnohorskiego, na mocy którego uniwersytet praski, założony w 1348 r., otrzymał czysto czeski charakter. Stało się to za panowania króla Wacława II. w ten sposób, że przyznał on studentom czeskiej narodowości 3 głosy, a cudzoziemcom tylko jeden głos w sprawach wewnętrznego zarządu uniwersytetu. Trzeba bowiem wiedzieć, że uniwersytety w wiekach średnich posiadały samorząd, w którego wykonywaniu studenci wraz z profesorami brali równy udział. Otóż do chwili wydania dekretu kutnohorskiego, studenci prascy dzielili się na cztery „nacye“: saską, bawarską, polską i czeską, a każda z nich rozporządzała jednym głosem.

Zarządzenie króla Wacława miało ten skutek, że cudzoziemcy opuścili gromadnie wszechnicę praska. Niemcy udali się do świeżo założonego dla nich uniwersytetu w Lipsku a Polacy wstąpili gromadnie do wszechnicy Jagiellońskiej, która w tym czasie zaczęła się wspaniale rozwijać. Tak więc, zupełnie niechcący, przyczynił się król Wacław do podniesienia wyższego nauczania w krajach ościennych.

Rycina nasza przedstawia delegacyę studentów francuskich ze sztandarem, na którym widnieje napis: „Assotiation générale des étudients de Paris“, podczas uroczystego przyjęcia jej przez Czechów w Kutnejhorze na dziedzińcu tzw. „Wlaszkiego dworu“, gdzie w średnich wiekach mieściła się królewska mennica.



**Śmiertelny skok:** Jan Kazimierski, ofiara zawodu podczas skoku z wysokości stu dwudziestu stóp w cyrku Ciniselli'ego w Warszawie.

## Zgon artystki.

Teatr warszawski, ta najważniejsza placówka naszej sztuki dramatycznej, poniósł w ubiegłym tygodniu dotkliwą stratę przez śmierć utalentowanej artystki do ról charakterystycznych śp. Aleksandry Trapszowej, która przez czas dłuższy była jego prawdziwą ozdobą.

Śp. Aleksandra Trapszowa, urodzona w 1855 r., pochodziła z dobrze niegdyś znanej i cenionej w Krakowie artystycznej rodziny Ficzkowskich. Wychowana w sferach teatralnych, już od wczesnej młodości zdradzała zapał do sztuki i idąc za nim, wstąpiła do krakowskiego teatru za jego najświetniejszych czasów tj. za dyrekcyi Koźmiana. Pierwszymi jej krokami na scenie kierowała nie zapomniana Hoffmanowa.

Następnie wstąpiła do trupy Anastazego Trapszy, z którym podążyła do Poznania i Królestwa Polskiego. Wszędzie zwracała na siebie uwagę dużym talentem i nieporównaną werwą w odtwarzaniu ról charakterystycznych w lekkiej komedyi i farsie. Wyszedłszy za mąż za Marcelego Trapszę, wstąpiła wraz z mężem do teatru łódzkiego, później zaś dała się poznać w Warszawie grając z tym teatrem w gmachu cyrkowym na Ordynackiej.

Sympatyczny jej talent sprawił, że zaangażowano ją do teatru „Nowości“, gdzie zdobyła sobie wybitne stanowisko. Niestety, ciężka choroba od trzech lat nie pozwoliła jej występować prawie zupełnie. Pomimo tego publiczność warszawska zachowała artystkę we wdzięcznej pamięci, czego dowodem był tłumny jej udział w benefisie, jaki dla niej urządzono w roku ubiegłym.

Śp. Aleksandra, pozostawiając po sobie najlepszą pamięć, jako kobieta i artystka, osierociła męża, wybitnego artystę i resyżera, oraz córkę p. Mieczysławę Ćwiklińską, utalentowaną artystkę teatru „Nowości“ i syna, studenta politechniki ryskiej.



**Skutki katastrofy:** Przygotowanie trumien dla zwłok wydobytych z pod gruzów Messyny.

**PAWEŁ MARGUERITTE.**

# CZARNA KSIĘŻNICZKA

5 **Ciąg dalszy.**

W rogu pracowni znajdowały się schody, które prowadziły do małego pokoiku, w głębi znajdowała się wielka szafa. Wiera otworzyła ją i weszła do środka, a pod jej ciężarem rozsunęła się tylna ściana szafy, w również czarodziejski sposób rozsunęło się i futrowanie z drzewa, jakie przed sobą ujrzały. Gdy Joanna i markiza mijały to dziwne przejście, Wiera zasuwała za niemi starannie wszystkie drzwi. W pokoju, w którym teraz znalazły się, otworzyły się nowe drzwi, przez które przeszły do dużej, starannie umeblowanej sali, bez okna, oświetlonej tylko przez witraż w suficie.

Po środku stało wielkie łóżko; na kominku palił się ogień, w wazonach kwitły róże, na obok stojącym stoliku znajdowało się kilka książek.

— Oto jest pani u siebie — odezwała się Wiera. — Nikt tu pani nie będzie przeszkadzał. Tę wolną niewolę, w jakiej się pani teraz znajduje, postaram się uczynić jak najmilszą.

Pokazała za parawanem małe łóżko, przeznaczone dla Joanny, sama zaś będzie spała przy otwartych drzwiach w bocznym pokoju. Joanna będzie doglądała chorej, ona zaś zajmie się gospodarstwem.

— Dobrze tu jest — odpowiedziała markiza, kładąc się zmęczona na kanapie — lecz wyznam pani, droga Wiero, iż boję się trochę....

— Niech pani nie obawia się niczego, jest pani tutaj tak bezpieczną, jak nigdzieindziej.

— Proszę mi wybaczyć jeszcze to pytanie: czy nie mogła mnie pani przyjąć u siebie?

— Byłoby to lekkomyślnem. Tam jest stróżka, sąsiedzi, ja jestem znana. Tutaj zaś znajduję się pani daleko od Paryża.

— A więc my teraz nie u pani jesteśmy?

— Kto mówi, że nie u mnie? Jest to zakątek, gdzie nieraz przychodzę odpocząć. Niech pani będzie spokojną.

Na drugi dzień rano rozpoczęły się ciężkie chwile. Nie miała jednak czasu krzyknąć, gdyż zaraz Wiera położyła jej na twarz maskę z chloroformem.

— Nie można dopuścić, by ktokolwiek słyszał— odezwała się Wiera do Joanny, która mimo swej całej zimnej krwi, drżała.

Wkrótce potem pani Morailles powiła syna, Jacka Roberta, tak nazwanego przez pamięć dziadka barona Jacka Cahorte i ojca Roberta Le Chars.

Łoskot otwieranych gwałtownie drzwi dorożki, wyrwał Joannę z tych wspomnień. Znajdowała się przed pałacem.

Portyer powitał ją uśmiechem, jako dobrą znajomą.

— Czy pani markiza jest?

— Wróciła właśnie przed pół godziną.

## X.

### KLESZCZE ZACISKAJĄ SIĘ.

Po wejściu do przedsionku z samochodu, markiza Morailles poczęła wolno wstępować po szerokich marmurowych schodach, wysłanych pąsowem suknem, udając się do swego apartamentu. Na pierwszem piętrze kamerdyner John, we fraku, krótkich jedwabnych spodniach i pończochach, zerwał się szybko z fotelu na jej widok i podał na srebnej tacy bilet wizytowy.

— Pan Maurycy Le Chars — dodał głosem pełnym powagi, z akcentem angielskim — pytał się, czy pani markiza będzie o piątej godzinie, o której przyszedł po raz wtóry. Ponieważ nie zastał pani markizy, zostawił znowu drugi bilet.

Pani Morailles minęła go bez odpowiedzi. Flegmatyczny John, który zawsze był dla niej antypatycznym, teraz wydał się jej jeszcze bardziej denerwującym: czuła nieufność do tego służącego, który podobał się jej mężowi. Doznała pewnego niepokoju, czytając ten bilet, kawałek bristolu, na którym widniał napis:

*Maurycy Le Chars*

*Konsul Francyi.*

*Palazzo Corsi.* *Venezia.*

Wspomnienie tragicznego końca Roberta, milczenie jego brata, który posiadał ten sekret i teraz zjawiał się niespodzianie, poruszyło nią silnie.

— I pragnie mnie jeszcze dzisiaj widzieć.... — to dziwne, pomyślała.

Co ma jej do powiedzenia po tak długim czasie? Wytłomaczyć swe milczenie? Może z innym zamiarem tu przyszedł? Gubiła się w próżnych domysłach.

Zanim udała się do siebie, wstąpiła jeszcze według przyzwyczajenia do pokoju syna. W czarnem aksamitnem ubraniu, z białym koronkowym kołnierzem, wyglądał jak małe książątko z czasów odrodzenia. Pomimo, iż miał już sześć lat, nosił jeszcze długie włosy w puklach.

Na widok matki, rzucił książkę z obrazkami i podbiegł ku niej radośnie. Ucałowała go serdecznie.

— Dlaczego masz takie czoło gorące, zmęczyłeś się?

— Nie, mamusiu, bawiłem się tylko dzisiaj długo. Jeździłem długo na moim czarnym ponny, który jest taki zły. Byłem aż w hipodromie w Longchamp....

— A potem coś robił?

— Potem — odezwała się miss Hallam, guwernantka, długa jak szparag, żółta z wielkimi zębami — potem Andrzej zajmował się lekcyami razem ze mną, ale muszę powiedzieć, był roztargniony i nieuważny.

— O, mój synku, to mnie martwi—po zabawie trzeba się nauczyć swych lekcyj i nie martwić miss Hallam, która cię kocha.

— Dobrze, już bedę uważał, przyrzekam to mamusi i pani.

Za tę odpowiedź matka ucałowała go znowu. Jej mały Andrzej, pomimo wielkiego podobieństwa do ojca, zdradzał już jak najlepszy charakter. Była to największa dla niej pociecha. Od chwili urodzin tajemnego swego syna, kochała Andrzeja więcej, niż poprzednio, ale więcej jeszcze miłości miała dla Jacka, który musiał przebywać zdala od matki.

Powróciła do swego apartamentu; jej starsza pokojówka, Zofia, przygotowała toaletę, którą miała mieć wieczorem na wielkiem przyjęciu u księcia d'Eylau, przyjaciela męża.

— Pan Markiz — odezwała się pokojówka — telefonował przed chwilą.

Przyzwyczajona do tej wygodnej korespondencyi z mężem, zbliżyła się do maleńkiego aparatu i po zadzwonieniu zapytała:

— Chcesz ze mną mówić Henryku?... Czego pragniesz?

— Tak, to ja — rozległ się w słuchawce głos męża. — Miałem być dzisiaj razem z d'Aurory na obiedzie w klubie, lecz wyobraź sobie, iż mnie zawiódł: dostał influency. Czy pozwolisz mi zjeść obiad razem z tobą? nie będę natrętnym?

Zawahała się chwilę, poczem odpowiedziała lakonicznie:

— Proszę o to bardzo.

Następnie zwróciła się do pokojówki?

— Proszę powiedzieć Johnowi, by podał nakrycie dla pana.

Po wyjściu służącej, brzydkiej brunetki, lecz o inteligentnej twarzy i zgrabnie ubranej w czarną suknię, markiza przeszła do sąsiedniego pokoju toaletowego, by przed obiadem wziąć kąpiel. Zaledwie poczęła się rozbierać, ukazała się pokojówka:

— Pani Dandre pragnie widzieć panią markizę.

— Proszę wprowadzić.

Zazwyczaj nigdy nie przychodziła o tak spóźnionej porze, lecz o jakiejkolwiek godzinie zjawiłaby się, natychmiast była przyjętą. Gdy pani Morailles ubierała się, zawsze kilka chwil porozmawiała ze swą przyjaciółką, zanim odprawiła służącą.

Obecnie Jednak Joanna wyglądała tak przerażoną, iż markiza, przeczuwając coś złego, odezwała się:

— Sama rozbiorę się Zofio.

Pokojówka wyszła natychmiast, łatwo jednak domyśliła się, iż pani nie chciała, by słyszała ich rozmowę, dlatego też zatrzymała się przed drzwiami.

Pani Morailles przestrzeżona instynktem, otworzyła drzwi tak gwałtownie, iż Zofia ledwie zdołała uciec przez garderebę, od której drzwi markiza zamknęła na zasówkę. Poczem odezwała się:

— Co się stało, Joanno?

— A czy Zofia przypadkiem nie podsłuchuje nas?

— To możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne — odpowiedziała markiza. — Podejrzewam, że i John śledzi mnie na korzyść męża, a miesza się do tego nawet i Miss Hallan, mimo całej swej godności.

Joanna zmięszana obojętnym tonem Aurory nie śmiała odrazu wyznać wszystkiego, po chwili jednak w cichych słowach, przerywanych łkaniem opowiedziała całe nieszczęście.

— Oh, mój Boże!... — wyjękła tylko markiza i przerażenie jej było tak wielkie, źrenice oczu tak się rozszerzyły i tak gwałtownie zaczęło bić jej serce, iż przestraszona Joanna schwyciła flakon wody kolońskiej, by ją cucić. Lecz markiza zapytała, oddychając ciężko:

— Co tu począć?... Czyś kogo zawiadomiła?

— Nie, nikogo, pomyśl tylko Auroro!

— Tak, to prawda... Lecz to straszne, nie możemy tak pozostać. Moje dziecko!... Nie można mi ukraść dziecka!... O Boże! to tylko on mógł porwać mi Jacka, lecz potrafię go odebrać!

Głos jej brzmiał tak strasznie, usta skrzywione z gniewu i bólu, ręce zaciśnięte kurczowo, zdradzały takie napięcie woli, iż Joanna ujrzała, jak matka w obronie dziecka zamienić się może w tygrysicę.

— Nie, Auroro, to nie on. I mnie przychodziła ta myśl, lecz ją odrzuciłam. Coby znaczyło zostawienie na miejscu Jacka innego dziecka?

— Czy ja wiem? Lecz tyś odesłała tamtą dziewczynkę?

— Komu? przecież ja nie wiem, kto są jej rodzice...

— Lecz na prefekturę, na policyę...

— I musiałabym wtedy wyznać, że mnie porwano Jacka.

— A więc?

— Trzebaby było kłamać, lecz to już mniejsza, żądaliby jednak dowodów...

Zrozpaczona matka załamała ręce.

— A jeżeli zawiadomię prefekta policyi?

— Myślałam o tem, lecz będzie tosamo?

— Pójdę jednak do niego.

— W takim razie będziesz zmuszona wyznać mu wszystko.

— Jeżeli tego trzeba, jeżeli za cenę mej czci odzyskam dziecko...

— A nie obawiasz się?...

— Że prefekt policyi nie zachowa mego sekretu? Nie, jest to uczciwy człowiek, wszyscy tak mówią; przedstawiono mi go na balu w ambasadzie austryackiej — ma czyste, jasne spojrzenie.

— Czy to nie jest zbyt ryzykownem Auroro?

— Nie, tylko jak go zobaczyć? Mąż je dzisiaj obiad w domu, a potem ma mnie odwieść na bal. Lecz ja nie pójdę na to przyjęcie!

— A jednak powinnaś iść.

— Dlaczego?

— Jeżeli markiz podejrzewa już coś, możesz wszystko jeszcze zatrzeć, jeżeli nie, strzeż się, byś nic przeciw sobie nie wzbudziła.

— Więc cóż czynić?

— Napisz do prefekta.

— List? otrzyma go dopiero jutro, a niewiadomo, kto, go roztworzy?... A gdybym przez telefon dała mu znać?

— Poproś go lepiej, by był na owym wieczorze, na który idziesz, nie tłómacz jednak po co. Będzie zaintrygowany i przyjdzie, a ty już znajdziesz możność porozmawiania z nim.

— Lecz jak mu przesłać to zawiadomienie, przecież tutaj telefonować nie mogę.

— Napisz bilecik, a ja postaram się w jakikolwiek sposób doręczyć mu go.

Markiza siadła przy biórku i napisała kilka wierszy.

— Nie podpisuj tylko — zwróciła uwagę Joanna.

— Dlaczego? będzie sądził, że to mistyfikacya.

— Nie, pan Salandre przyjdzie mimo wszystko.

— Tak, uchodzi on za bardzo czułego, na wdzięki kobiet, opowiadają o nim różne historye — będzie więc zaintrygowany... Przeczytaj ten bilet.

> „Jeżeli pan będzie dzisiaj na wieczorze u księcia d'Eylau między jedenastą a dwunastą, będzie pan mógł wybawić ze strasznego nieszczęścia kobietę, której nazwisko nie jest panu obce. Nie ma ona, niestety, innej możności widzieć pana dzisiaj, nie jest również w stanie napisać więcej, jak tylko wyrazić z góry swą głęboką wdzięczność i zapewnić o swem poważaniu.“

— Doskonale; zapieczętuj i ja zaraz idę.

— A co zrobisz z tem dzieckiem, które do nas nie należy.

— Będę czekała, aż dowiem się o jego rodzicach. Obecnie karmi je Ludwika — odpowiedziała Joanna i wyszła pospiesznie, całując na odchodnem Aurorę.

## XI.

### NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

W tej samej porze markiz Morailles przyjmował również gościa.

Kajetan, jego ulubiony stary służący o siwych włosach, zapukał do drzwi i oznajmił:

— Pan Abel Smith!

Markiz, ubrany już w garnitur frakowy, obrócił

się szybko. Smukły, dobrze zbudowany, wydawał się młodszym, zwłaszcza przy sztucznem świetle.

Gościa swego powitał z zadowoleniem.

— To bardzo pięknie z pańskiej strony, Roggers, przepraszam, drogi panie Smith, że pan dotrzymał swego przyrzeczenia, uczynionego w Ameryce i przyszedł mnie odwiedzić.

Gość, do którego zwracał się z tą pewną niedbałą uprzejmością, był mężczyzną, średniego wzrostu, o szarych krótko przystrzyżonych włosach, o twarzy żywej, jakby ruchomej, z oczami nadzwyczaj bystremi.

— Nie na długo — odpowiedział lakonicznie Amerykanim. — Pilne zajęcia. Dyabelska praca!

— Mogę się założyć, że to z powodu tej głośnej kradzieży, której ofiarą stał się miliarder Sund w Chicago, wasz żelazny król. Teraz po Europie szuka pan złodziei?

Smith uśmiechnął się, okazując zdrowe, silne zęby:

— Sza! Tajemnica urzędowa.

— I ktoby mógł przypuszczać, że mój gentleman jest pierwszym detektywem Stanów Zjednoczonych, zuchem, który zmienia swoją twarz i skórę lepiej, niż najzdolniejszy aktor, który mówi sześcioma językami i zna wszelkie gwary. Bez pańskiej uprzejmości, Roggers, przepraszam, mój drogi Smith nigdy nie zwiedziłbym tych ciekawych zakątków Ameryki, o jakich my w Europie nie mamy pojęcia. Proszę rozgościć się. Cygaro? Nie? A więc pastylkę.

Podał gościowi bombonierkę, z której Smith wziął niedbale pastylkę miętową i flegmatycznie począł ją kosztować. Ubrany według ostatniej mody, z kwiatem w butonierce, znalazłby uznanie za swą nieskazitelną poprawność, nawet u najbardziej wymagających ludzi.

Markizowi wyświadczył w Ameryce wielką usługę, zwracając mu wieczorem sto tysięcy dolarów, ukradzionych rano w pociągu w Bostonie. Również i markizowi zdarzyła się sposobność oddania przysługi Roggersowi (to było nazwisko ajenta, drugie tylko pseudomimem), gdy rzuciła się na niego gromada pijaków. Markiz doskonale obznajmiony z *jiu jitsu,* wyprowadził cało ajenta z tej niebezpiecznej walki. Takich przysług nie zapomina się. Prawdziwem też było zadowolenie markiya. gdy ujrzał u siebie człowieka, którego spryt i odwaga stały się prawie przysłowiowe.

— Spodziewam się, mój drogi Rog.. Smith, że będziesz pan mną rozporządzał dowoli, Możebyśmy jutro pojechali do Lasku? Wiem, że jesteś pan znakomitym jeźdźcem, dam też panu wspaniałą klacz.

— Brak czasu, dziękuję. Dyabelskie sprawy.

— To może dzisiaj do teatru, do Komedyi francuskiej?

— Z przyjemnością... ale niemożliwe!

— Ciągle sprawy?

— Ciągle.

— Kiedyż zjemy obiad w kabarecie?

— Zatelefonuję, pozwoli pan?

— Proszę bardzo.

Markiz rozbawiony krótkiemi odpowiedziami swego gościa, zapytał:

— Gdym wyjeżdżał, pan szukał głośnego zbrodniarza, zdaje mi się Astorga. Ten zadał panu wiele trudu. Co pan z nim zrobił?

— Zamknąłem, a potem powiesiłem.

— Biedny Astorg.

— O, tak, zostawił trzy legalne żony i siedmioro nielegalnych dzieci, z tych jednego negra. Przeklęty łotr!

— A panu nic nie zostawił?

— Mnie? oh! nie. Dziurę od noża z jednej strony. i od kuli z drugiej.

— Do dyabła! to dość.

— Takie zajęcie...

— Ileż to potrzeba sprytu, instynktu, obserwacyi, by rozświetlić jaką sprawę. Złapać zbrodniarza, to proste, ale rozwikłać kłębek, odszukać ślady, mając tylko słabe wskazówki, to sztuka.

— Nie przesadzać; przyzwyczajenie. A później ciekawość, wielka przyjemność. Bardzo wielka!

Gdy Smith to mówił, oczy mu błyszczały, nozdrza drżały, miał wyraz psa tropiącego zwierzę.

— Tak, tak — potwierdził markiz rozentuzyazmowany. — Czyni pan ze swego zawodu artyzm. Ale, gdybyśmy znajdowali się w Ameryce, lub gdyby pan był jednym z szefów naszego prefekta policyi, Salvande, poradziłbym się pana w pewnej sprawie osobistej.

— Ach! osobistej?

Spojrzenie Amerykanina zatrzymało się złośliwie na markizie.

— Szantaż, he?

— Jak to pan odgadł?.... tak, szantaż, przynajmniej tak to wygląda.

Roggers uznał to za rzecz zupe nie naturalną. Dlaczegóż nie miałby kto naciągnąć tak bogatego markiza. Najzupełniej to odpowiada wszelkim dobrym zwyczajom.

— Kobieta? — zapytał i zmrużył oko.

— Tak, kobieta. Lecz nie jest to, jak pan myśli żadna dawna kochanka. Nie. Tej szantażystki



— *Yes!* Ofiaruję panu do sprzedania list za dwadzieścia tysięcy franków...

nie znam wcale. Lecz poco o tem mówić? Pan tutaj nic nie poradzi....

— Skąd wiadomo?

— A więc niech pan sobie wyobrazi, że w ciągu trzech tygodni dostałem trzy listy, pisane jedną ręką: jeden z Londynu, drugi z Brukselli, trzeci z Paryża.

— Bardzo dobrze. Te listy?

— Zaraz je pokażę. Papier elegancki, pismo długie, jak obecnie pisuje większość kobiet. Co zaś do treści....

— *Well!* Zakładam się: ofiarowanie dokumentów kompromitujących do sprzedania. Drogo! Nadzwyczaj!

— Ależ pan chyba zna całą sprawę?

— Niemowlęctwo sztuki.... Chce pan? Powiem więcej: pisze, iż dokumenty te interesują pana więcej, niżby można sądzić według pańskiego milczenia. Pan zachował się bardzo roztropnie, nic nie odpowiadając. Tak?

— Tak.

— Dodano, że te papiery interesują jeszcze więcej inną osobę. Mogę ją nazwać?

— Istotnie tak, panią Morailles, moją żonę... Co pan o tem sądzi? Lecz oto listy. Przeczytaj pan!

Wyjął je ze szuflady zamkniętej na klucz. Roggers z grzeczności tylko rzucił na nie okiem.

— *Yes!* Ofiaruję panu do sprzedania list za dwadzieścia tysięcy franków, depeszę za trzydzieści. Drogo, jeżeli papiery nie mają wartości, bardzo tanio, jeżeli ją przedstawiają.

Markiz stał się zamyślonym: może żałował już, że tak nagle zwierzył się z tem. Roggers jednak nie był podobnym do innych, wszelka tajemnica zapadała w nim, jak kamień w wodę.

Zdecydował się.

— Będę mówił z panem, jak człowiek z człowiekiem, a raczej, jak przyjaciel z przyjacielem — i wyciągnął do niego rękę.

— Doskonale, tak! — odpowiedział z szerokim uśmiechem Amerykanin, potrząsając silnie podaną ręką.

— Sam pan przypuszcza, że te insynuacye przyjąłbym obojętnie, gdyby dotyczyły tylko mnie. Tajemnice mego życia prywatnego znają wszyscy. Jest-to sekret poliszynela.

Roggers zdawał się słuchać uważnie tych słów, jednocześnie przypatrując się bacznie końcom swoich trzewików.

— Lecz te insynuacye naruszają spokój mojej żony i ofiarują mi jakieś niecne dowody o osobie, którą uważam za najgodniejszą wszelkiej czci.

Roggers podniósł do góry pochyloną głowę i rzekł krótko.

— Właśnie o to tu chodzi.

Markiz powstał blady i drżącym z gniewu głosem mówił:

— Nie dopuszczę, by ktokolwiek, mężczyzna, czy kobieta, mógł podać w wątpliwość cnotę pani Morailles: postępowanie jej było zawsze najgodniejsze.

Z twarzą zmarszczoną, z zaciśniętemi pięściami zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— To mnie tylko irytuje, że nie wiem, jakie machinacye knują przeciw kobiecie, którą winienem bronić. Jak każdy mąż i ja dostawałem listy anonimowe, rzucałem je jednak w ogień, myjąc po nich ręce. Tutaj jednak czuję jakąś skrytą nienawiść, zawziętość.

Detektyw przypatrywał mu się z zimną obojętnością. Czy odczuł, że w markizie znalazła dla siebie dostęp wątpliwość, budząc zazdrość? Opuścił wzrok na swe wygładzone paznokcie, jakby je badał skrupulatnie.

— Pan nic nie mówi? — zapytał suchym tonem markiz.

— Słucham.

Nastąpiło milczenie, poczem odezwał się znowu pan Morailles.

— Czy dać tę sumę? Obojętnem jest mi, czy zostanę okradziony. Boję się tylko, że zostanę oszukany i niczego nie dowiem się. Posiadanie tego listu i depeszy przywróciłoby mi spokój. Nie o cenę mi chodzi.... Obawiam się...

Zatrzymał się przed tem wyznaniem. Ten człowiek tak pewny swej żony, tak dumny, bał się, że wyznanie może go poniżyć. Myśli te uważał za szalone. Poważanie dla żony nie pozwalało ich dopuszczać do siebie. A jednak... Skąd te wątpliwości w nim powstały, sam nie wiedział. Te listy obudziły w nim podejrzenia. Od powrotu swego czuł, iż dokoła niego panuje jakaś tajemnica. O uczuciu takiem nie można rozmyślać, czuje się tylko... Więc on oszukany, zdradzony, on! i o tem dowiaduje się od jakichś szantażystek, które posiadają tajemnicę jego ogniska domowego. Co czynić? Dlaczego do dyabła mówił o tem Roggersowi? Co on może tu poradzić?

— Sądzę — zdecydował się wreszcie przemówić Amerykanin, który domyślił się udręczeń jego duszy — że pan nie chce mieszać w to sądu?

Trafił dobrze. Markiz uczyniłby to, gdyby nie obawiał się, że za dużo dowiedziałby się wtedy.

— Istotnie; trzebaby naprzód wyśledzić ją, a potem aresztować. Będzie się broniła, weźmie adwokata. A gdy to będzie jaki złoczyńca patentowany, który goni za skandalami?

— Tak, będzie zmyślał, kalumniował.... Bardzo źle! Nie można skarżyć. Lecz policya?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Udoskonalone narzędzie śmierci.

Niby zmora dokuczliwa ciąży nad Europą od lat prawie czterdziestu pokój zbrojny, pochłaniający miliardy i odciągający rocznie kroćie tysięcy ludzi od pracy produktywnej. Nie brakuje wprawdzie głosów odzywających się po parlamentach i po za nimi, które nawołują do ograniczenia zbrojeń; tu i owdzie nawet ministrowie najpotężniejszych mocarstw przyznają, że obecny stan rzeczy powinien już raz zostać zniesiony, pomimo tego militaryzm święci dalej swe tryumfy, a wszystkie państwa sadzą się jedno przez drugie, aby umocnić swą siłę zbrojną. Dość powiedzieć, że nawet Anglia nie jest zbyt daleką od zaprowadzenia u siebie obowiązku powszechnej służby wojskowej.

Szczególniej szkodliwie wpływa na innych przykład emulacyi między Niemcami a Francyą, które to mocarstwa urządzają formalny wyścig między sobą, gdy chodzi o pomnożenie sił zbrojnych, oraz ulepszenie wszelkich narzędzi morderczych, używanych podczas wojny.

Po uzbrojeniu piechoty w karabiny repetyerowe, zwrócono teraz główne uwagę na artyleryę polową. Za przykładem Niemiec, które uzbroiły swą artyleryę w działa szybkostrzelne, poszły inne państwa, a między niemi także i Austro-Węgry. Teraz znów Francya uprzedziła je, wprowadzając najnowszy typ szybkostrzelnego polowego działa, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze. Działo to różni się tem od dawniejszych, że po strzale wyrzuca automatycznie gilzę, jak to widać na pierwszym rysunku i zamek automatycznie się zamyka, gdy nowy pocisk zostanie wprowadzony do lufy. Zwiększa to oczywiście szybkość w strzelaniu. Do obsługi działa potrzeba tylko trzech ludzi i ci są dobrze zakryci pancerzem, przed pociskami karabinowymi i odłamkami granatów, jak to pokazuje drugi rysunek.

Działa te pochodzą z francuskiej fabryki: „Compagnie des forges de Chatillon“, a mają jeszcze i tę zaletę, że będąc znacznie lżejsze od dawniejszych, są zatem i daleko ruchliwsze.



**Przed Gilotyną:** Abel Pollet, potworny morderca, prowadzony na ścięcie w Béthune.

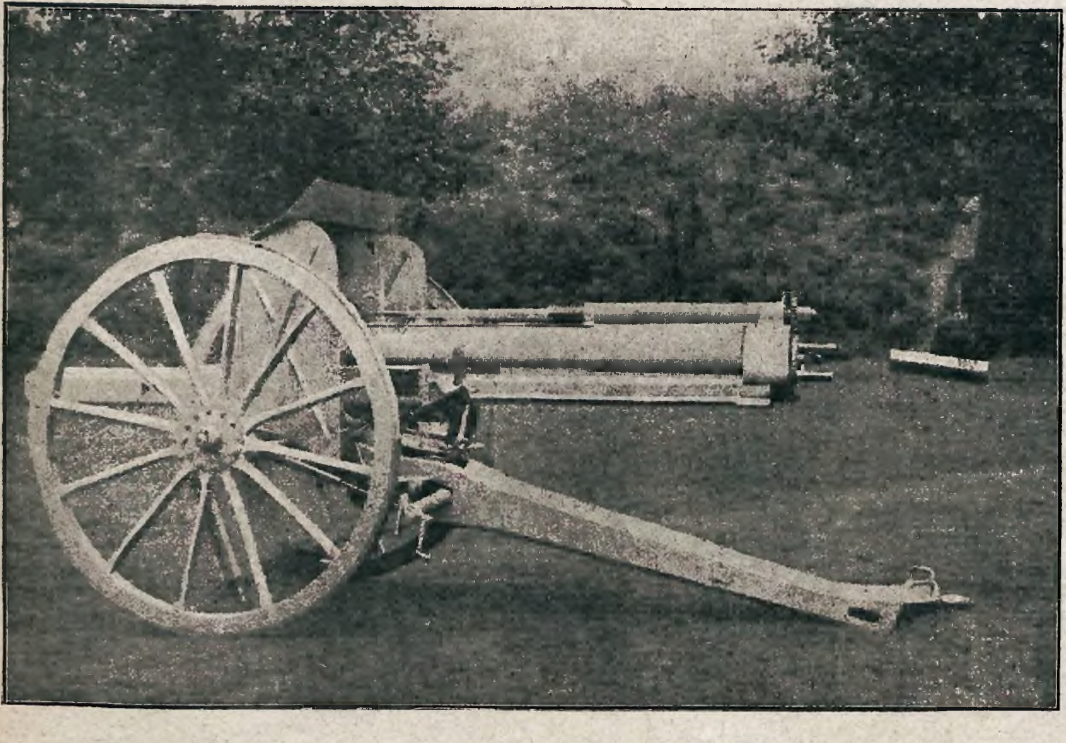


**Szpieg serbski w Borysławiu:** Wasylij Woroncew Wilkow, aresztowany pod zarzutem szpiegostwa w Borysławiu.

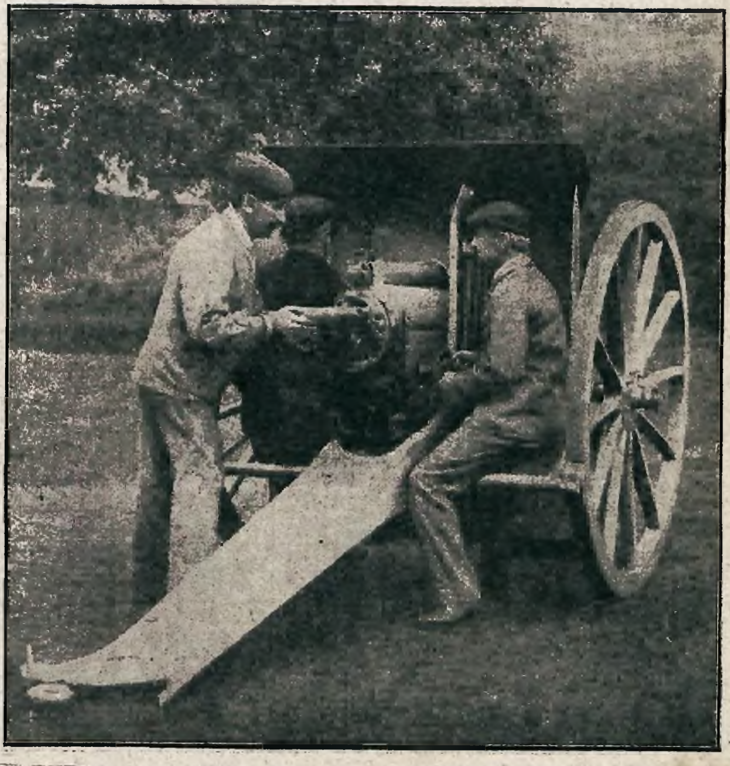
# Przed gilotyną.

Nierozstrzygnięty spór między przeciwnikami a zwolennikami kary śmierci w tych państwach, gdzie jest ona przewidzianą przez kodeks karny, ma znaczenie czysto teoretyczne. Zachodzą bowiem momenty, gdy opinia publiczna bywa tak wzburzona ohydnemi zbrodniami, że sprawiedliwość zostaje moralnie zmuszoną do wydania ich sprawców w ręce kata, celem wypełnienia prawomocnego wyroku.

Tak było i teraz we Francyi. Przy samym końcu ubiegłego roku toczyły się w parlamencie francuskim gorące rozprawy za i przeciw utrzymaniu kary śmierci. Przeważył głos posłów, którzy oświadczyli się za tą najwyższą karą. Skutkiem tego zaś prezydent republiki Fallières, który nie podpisywał dotąd



**Udoskonalone narzędzie śmierci:** Nowe szybkostrzelne działo francuskie wyrzuca automatycznie gilzę po strzale.



**Udoskonalone narzędzie śmierci:** Obsługa przy nowem szybkostrzelnem dziale francuskiem.

żadnego wyroku śmierci, widział się zmuszonym to uczynić po raz pierwszy od czasu objęcia swego urzędu.

Pierwszymi tedy, którzy za jego rządów ponieśli karę śmierci, byli czterej złoczyńcy, długi szereg zbrodni mający na sumieniu. Byli to mianowicie wybitni członkowie bandy, która w sile 14 mężczyzn i 13 kobiet pod dowództwem niejakiego Abla Polleta, długo grasowała w północnych departamentach Francyi a która oskarżoną była o dokonanie 115 morderstw i zabójstw.

Rycina nasza przedstawia tę chwilę, gdy właśnie kat Abla Polleta, prowadzi na miejsce stracenia, gdzie ma złożyć głowę pod nóż gilotyny. Obok stoi kat Deibler, sprowadzony z Paryża do miasteczka Béthune, gdzie egzekucya odbyła się kilka dni temu. Polleta, który do ostatniej chwili był pewnym, że zostanie ułaskawiony, jak tylu innych zbrodniarzy na śmierć skazanych, ogarnęło przerażenie po odczytaniu wyroku. Pomocnicy kata prawie wynieśli go na rękach z więzienia. Ujrzawszy przed sobą fatalne narzędzie a w wielkim koszu okrwawione zwłoki, poprzednio ściętych wspólników: Teodora Dervo, Cannt-Vromana i brata Augusta Polleta, zaczął się rzucać konwulsyjnie i opierać. Nie pomogło mu to wiele, bo po dwóch minutach i jego zwłoki znalazły się w koszu. Egzekucya wszystkich czterech skazańców trwała ogółem tylko dziewięć minut.

Sprawiedliwości ludzkiej stało się zadość. Jednakże ta egzekucya wywołała znamienne refleksye w prasie francuskiej na temat zachowania się ludności miejscowej, która nie starała się wcale ukryć swego zachwytu z okazyi wykonania wyroków śmierci na tych zbrodniarzach. „Monsieur de Paris“ t. j. kat, przyjmowany był w Béthune owacyjnie. Po egzekucyi śpiewano wesołe okolicznościowe piosenki — jednem słowem oddawano się radości, jak gdyby z powodu jakiegoś nader szczęśliwego wydarzenia. Wprawdzie banda Polleta dała się tamtym stronom bradzo we znaki, to jednak poczucie ludzkości powinno było wpływać na umiarkowanie wybuchów krwiożerczego zadowolenia *à propos* podobnego faktu, jak egzekucya.



**Bolesna strata:** Hr. Józef Krasiński z Radziejowic, obecny ordynat opinogórski.

## Szpieg serbski w Borysławiu.

W ubiegłym tygodniu nadeszła do starostwa drohobyckiego poufna wiadomość od żandarmeryi z Gracu, iż wiele ludzi powołanych do rezerwy zapasowej, a mających odbywać służbę wojskową obecnie, udało się do Serbii, zbiegając z szeregów wojskowych. Inni choć nie powołani do odbywania służby wojskowej, również do Serbii się udali. Werbunek tych ludzi — wedle twierdzenia grackiej żandarmeryi — miał odbywać się w Borysławiu.

Werbunek ten miał urządzać niejaki Wasylij Woroncew Wilków, podobno poddany rosyjski.

Natychmiast go odszukano i przyaresztowano w koszarach kopalnianych p. Szumakiego w miejscowości Wolanka-Tustanowice.

Przy aresztowanym, jak i w jego mieszkaniu, znaleziono obszerną korespondencyę w kilku językach, a brak związku logicznego i niektóre zdania i wyrazy wskazują na to, że korespondencya ta miała specyalny klucz. Stwierdzono następnie, że aresztowany przybył do Borysławia w początkach sierpnia b. r. i na podstawie jakichś świadectw uzyskał na kopalni „Stefa“ posadę pomocnika kierownika kopalni. W tym charakterze udało mu się wszędzie wkręcić i robić znajomości, a zajęcie to żmudne i za niskiem wynagrodzeniem bo 1 kor. 50 h. dziennie, było tylko dla pozoru.

Zajęcia dla chleba nie potrzebował on, bo jak stwierdzono, otrzymywał w Borysławiu kilka razy większe sumy pieniężne. W początkach szpiegował on emigrantów rosyjskich i królewiaków a w ostatnich czasach wysyłał ludzi do Serbii, obiecując tam dobre posady, dobry ożenek, lub karyerę w armii serbskiej.



**Bolesna strata:** Hr. Edward Krasiński, syn ordynata, hr. Józefa Krasińskiego.

Stwierdzono dalej, że utrzymywał stosunek z pewną zagadkową damą, zamieszkałą w Hruszowie na Śląsku. Dama owa często z miejscowości tej wyjeżdżała do Krakowa, Przemyśla, Lwowa, Podwołoczysk i Tarnopola i podpisywała się w listach do aresztowanego adresowanych „Stoklasa“. Dama ta obecnie gdzieś znikła z Hruszowa.

Tak samo znikły z Borysławia a już po aresztowaniu Woroncewa dwie zagadkowe osoby, z któremi Woroncew utrzymywał zażyłe stosunki. Jedna z nich używała nazwiska Piwnicki, druga Wołodimirow. Stwierdzono także, że Woroncew usilnie poszukiwał pewnego Rosyanina, który przez rok siedział w więzieniu przemyskiem, podejrzany o szpiegostwo.



**Armia padyszacha:** Omówienie i krytyka po skończonych manewrach pod Konstantynopolem.

Również stwierdzono, że w czasie świąt odwiedził Woroncewa w Borysławiu jakiś zagadkowy człowiek, który w listach do Woroncewa podpisywał się nazwiskiem Rumiancew.

Woroncew stanowi ciekawą i zagadkową figurę. Podawał się za inżyniera górniczego z Petersburga, a przyjął posadę pomocnika. Podaje się za Rosyanina, względnie Czerkiesa rodem z Kaukazu, lecz choć dobrze mówi po rosyjsku nie ma akcentu czysto rosyjskiego. Włada wszystkiemi słowiańskimi językami w słowie i piśmie, nadto dobrze mówi po turecku, persku, francusku, częściowo po włosku i angielsku, a bardzo dobrze po niemiecku.



**Armia padyszacha:** Piechota turecka w linii tyralierskiej z rezerwą.



**Armia padyszacha:** Piechota turecka na pozycyi.

## Pożegnanie konsula austryackiego w Warszawie

Dnia 19 stycznia b. r. żegnała kolonia austryacko-węgierska w Warszawie ustępującego generalnego konsula Stefana Ugrona, udającego się na stanowisko radcy ambasady austryacko-węgierskiej w Bukareszcie.

W salonach hotelu Europejskiego odbył się wspaniały bankiet, do którego zasiadło czterdzieści osób ze wszystkich sfer społecznych. Szereg toastów rozpoczął ks. prałat Gnatowski, który w swem przemówieniu podniósł osobiste zasługi ustępującego i doręczył mu pamiątkowy upominek od kolonii austryackiej, w postaci pięknego zegara w stylu Ludwika XVI. Pan Ugron podziękował serdecznie za słowa uznania stwierdzając z naciskiem, że podczas swej dwudziestoletniej karyery dyplomatycznej nigdzie i nigdy nie czuł się tak swojsko, jak wśród Polaków. Wicekonsul p. Heimroth, żegnał p. Ugrona w imieniu podwładnych, dając wyraz sympatyi, jaką generalny konsul cieszył się wśród swych współpracowników, którzy mieli w nim gorliwego a jednak wyrozumiałego i troskliwego przełożonego. Dalej przemawiali pp. Jan Orszagh po słowacku, Oremus po czesku, Dr. Duma po węgiersku, Laner, Lewandowski i Dr. Zawadzki. Pan Rolle wzniósł zdrowie odjeżdżającego, jako przyjaciela Polaków, p. Ugron zaś po polsku toastował na cześć polskich kobiet, a następnie na pomyślność polskiej pracy.

W ustępującym traci kolonia austryacka w Królestwie Polskiem nader troskliwego opiekuna a towarzystwo warszawskie bardzo uprzejmego i sympatycznego członka, który, aczkolwiek z pochodzenia Węgier, przez kilka lat pobytu nad Wisłą umiał sobie zjednać ogólne uznanie i zżył się z naszem społeczeństwem. To też w podróży do Bukaresztu, dokąd przeniesiono go z awansem, towarzyszą mu serdeczne życzenia pomyślności, naszej warszawskiej kolonii, wśród której Polacy stanowią ogromną większość.



**Pożegnanie konsula austryackiego w Warszawie:** Stefan Ugron, były austro-węgierski w Warszawie.

## Żywcem pogrzebani.

Nie przebrzmiało jeszcze echo katastrofy w Mesynie, gdy wstrząsnęła wszystkimi wiadomość o nieszczęśliwym wypadku, jaki zdarzył się w drugiej połowie stycznia w kopalni węgla w Ajce, koło Veszprimu.

Katastrofa wybuchła w szybie Ujbanya; jak twierdzą z powodu nieostrożności inspektora kopalń Hartera, który z lampką oliwną zbliżył się do przyrządu wentylacyjnego. Pył węglowy, gromadzący się zawsze skutkiem prądu powietrza koło tego przyrządu, zapalił się i wybuchł, a równocześnie płomień ogarnął cały szyb. Inspektor Harter i sztygar Sandor zginęli na miejscu. Ponieważ wentylacya ustała, powietrze wypełniło się trującymi gazami, a pożar posuwał się w głąb kopalni. Pierwszy spostrzegł ogień górnik Szanto i z okrzykiem: „Pali się, ratuj się kto może!" — rzucił się do ucieczki. Za nim pospieszyli i inni ku zjazdowi do szybu. Ponieważ wyjeżdżać mogło tylko po czterech, rozpoczęła się koło windy rozpaczliwa walka o miejsce. Trzech górników zostało wtłoczonych między kosz a ściany szybu, a gdy kosz uniósł się, zostali zmiażdżeni, a ciała ich nie pozwoliły koszowi pójść do góry. Tymczasem nadbiegli inni górnicy, a widząc, że mają odciętą drogę, stracili przytomność i zaczęli walczyć ze sobą, nie wiedząc o co. Wpijali się w siebie zębami i paznokciami, deptali się nawzajem, bili się oderwanymi kawałkami rury wodociągowej. Z całej masy siedmdziesięciu górników ani jeden nie pozostał bez ciężkiego lub lżejszego uszkodzenia. Trwało to zaledwie kilka minut, gdy nastąpił nowy wybuch, zabierając z pośród walczą-



**Żywcem pogrzebani:** Przygotowania do pogrzebu.

cych nowe ofiary. Kogo eksplozya nie zabiła, ten zginął w ukropie, wylewającym się z pękniętego kotła, albo udusił się z powodu braku świeżego powietrza, powstałego skutkiem zniszczenia wentylatorów.



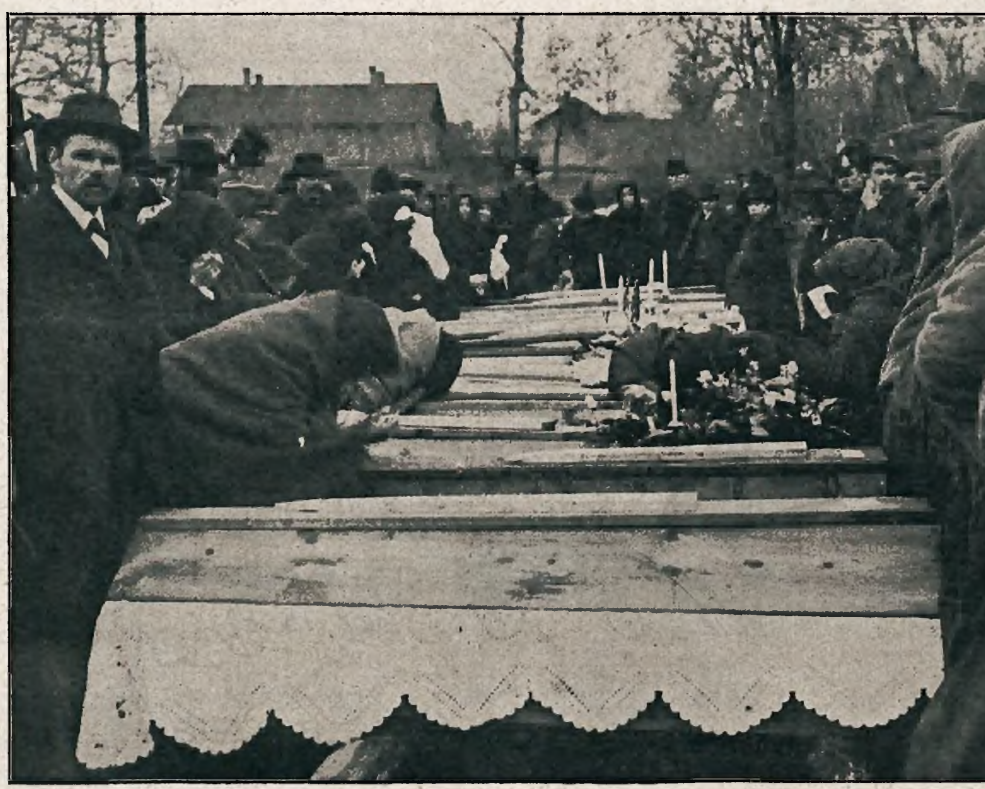
**Żywcem pogrzebani:** Trupy koni uduszonych w kopalni.

Z powodu zepsucia się windy, nie można było nieść ratunku na normalnej drodze. Kilku odważnych chciało zejść do szybu po drabinach, odwagę swą przypłacili jednak życiem, gdyż w głębi dosięgły ich trujące gazy. Gdy na górze zobaczono, że ekspedycye ratunkowe nie wracają, pospieszono im z pomocą. W tym czasie gazy już się częściowo ulotniły, uratowano więc 21 z pomiędzy 25 ratujących.

W ciągu nocy wydobyto czterdzieści trupów, później jeszcze 16. Dopiero po dwu dniach naprawiono zjazd do kopalni. Większa część górników uratowała się w ten sposób, że nie pobiegli ku wyjściu, lecz schronili się w głębi kopalni, skąd dostali się do opuszczonego szybu. Po trzech dniach pobytu tam, wydobyto 120 ludzi, między nimi dziesięciu chłopców w wieku 12—16 lat. Ogółem zginęło 56 ludzi, a 30 odniosło ciężkie rany.

Straszna ta katastrofa wywarła ogromne wrażenie nietylko na tamtejszej ludności ale i w całym kraju. Zewsząd płyną składki na rodziny nieszczęśliwych ofiar zawodu, a żupan veszprimski rozdzielił między wdowy i sieroty, jako doraźną zapomogę, wszystkie pieniądze, jakie zebrano w komitacie dla pozostałych przy życiu mieszkańców Messyny.

W bieżączm numerze podajemy illustracye z miejsca katastrofy, wykonane według nadesłanych nam przez naszego korespondenta bardzo ciekawych zdjęć fotograficznych.



**Żywcem pogrzebani:** Wdowy rzucają się z płaczem na trumny.



**Żywcem pogrzebani:** Pogrzeb ofiar katastrofy.

# Katastrofa w kościele.

W końcu ubiegłego roku i z początkiem bieżącego czytaliśmy o tylu grozą przejmujących katastrofach, które pozbawiły życia tysiące ludzi, że każdą nową o nich wiadomość przyjmujemy już z pewnem zobojętnieniem, bojąc się tylko, że i na nasz biedny kraj przyjdzie także kiedyś kolej.

Jeszcze nie przebrzmiały echa strasznego trzęsienia ziemi we Włoszech południowych, gdy jak grom z jasnego nieba spadła wieść o katastrofie kopalnianej na Węgrzech, a ostatnio o zawaleniu się kościoła w Nax, w kantonie Wallis w Szwajcaryi.



**Niezwykłe samobójstwo:** Porucznik Schneider, który odebrał sobie życie w Przemyślu zapomocą dynamitu.

W cichej wioszczynie górskiej odbywało się w niedzielę nabożeństwo w miejscowym kościele parafialnym. Kościół był po brzegi wypełniony wiernymi. Już w czasie kazania spostrzegł organista, że od sufitu odrywa się kawałek tynku i zawiadomił o tem proboszcza. Nikt nie przywiązywał wagi do tej wiadomości, nieprzeczuwając groźnego niebezpieczeństwa. W czasie nabożeństwa niespokojnem okiem obserwował organista w dalszym ciągu sufit i skonstatował, że szpara się rozszerza. W tej chwili zawołał więc: „Ratujcie się, kto może!“ Niestety było już zapóźno. Kawał sklepienia, grubego na 20 cm., długości 12 metrów, a szerokości 10 m. spadł na środek nawy. Powstał straszliwy popłoch. Po huku i okrzykach trwogi, rozległy się jęki bolesne. Tłum rzucił się do ucieczki, lecz oboje drzwi otwierały się na wewnątrz. Przy nich ludzie się gnietli i dusili, tworząc żywy zator, który tamował wyjście. Kiedy wreszcie udało się drzwi otworzyć i kościół się opróżnił, wnętrze przedstawiało grozą przejmujący widok. Wśród gruzów, szczątków rozbitych ławek, kapeluszy, książek do nabożeństwa, w kałużach krwi tarzało się kilkadziesiąt osób.

Około trzydzieści ofiar padło na miejscu, przeszło pięćdziesiąt odniosło ciężkie uszkodzenia, grożące życiu. Jakiejś młodej dziewczynie gruzy strzaskały obie ręce złożone na ławce, inna pozostała bez nóg. Żałobą okryło się kilka okolicznych wiosek należących do parafii w Nax. Ofiary katastrofy pogrzebano w trzech wspólnych grobach.

Rycina nasza przedstawia fotograficzne zdjęcie zawalonego kościoła.

ARNOLD GOLSWORTHY.

# Krzyk w nocy.

2 (Ciąg dalszy).

Pan Ponderbury, który wszedł zaraz za mną, zaświecił kawałek świecy i w blasku jej poznałem w leżącym na ziemi człowieku swego ojca. Z rany płynęła mu obficie krew, nie mógł już mówić, dał nam tylko znak, że pomoc lekarska jest już zbyteczna. Nie widziałem ojca od lat dwudziestu, nie wiem, czy miał jakich nieprzyjaciół i nikogo nie posądzam o zbrodnię. Zapytałem go o mordercę, lecz nie zdążył już wymówić imienia, opadł tylko martwy na me ręce. Przy pomocy ludzi przeniosłem go do siebie, gdzie przybyły pospiesznie lekarz skonstatował śmierć. To tylko wiem i to zeznaję, przekonany w swem sumieniu etc. etc.“

Lekki szmer przerażenia przebiegł salę, gdy koroner skończył czytanie i oczy wszystkich zwróciły się na Wilfreda, który blady siedział koło sir Johna Lesterhama. Następnie wezwano Ponderbury'ego: urzędnik, drżąc cały, z wielkiemi kroplami potu na czole składał przysięgę i dodał, że będzie mówił prawdę. Na szczęście dla niego, koroner zażądał tylko, by potwierdził zeznanie Wilfreda, potem zapytał, czy ma jeszcze co do dodania, na co odpowiedział pospiesznie, że nic więcej nie wie. Kilku z sędziów przysięgłych, którzy słyszeli poprzednie jego opowiadania z całą masą nieprawdopodobnych szczegółów, chcieli postawić jeszcze kilka pytań, wywołanie jednak nazwiska sir Johna Lesterhama, baroneta, sędziego pokoju, skupiło na nim uwagę.

— Pragnę tylko poprosić pana — odezwał się koroner — o krótkie opisanie miejscowości, znanej pod nazwą szopy cygańskiej.

Sir John odpowiedział w kilku słowach jej właściwe dawne przeznaczenie i dlaczego nie zburzył jej zupełnie.

— A więc cyganie korzystali z niej?

— Tak, w czasie niepogody woleli kryć się w niej, niż mieszkać na otwartem powietrzu w swych wozach.

— Czy w dniu 1 sierpnia, lub wogóle w tym czasie, szopa zajęta była przez jaki tabor?

— Nie wiem, nie byłem w Greenleafhurst; po powrocie dowiedziałem się o spełnionej zbrodni i zaraz udałem się konno do pana Allistona.

— Dziękuję, sir Johnie — odpowiedział koroner, notując kika szczegółów.

Następnie zeznawał strażnik miejski, który patrolował w tej części gminy, nie widział jednak żadnego wozu cygańskiego. W godzinę po odkryciu zbrodni przebiegł całą okolicę, lecz nie znalazł żadnego śladu ich pobytu. Zazwyczaj wiedział dobrze, gdy przybywali cyganie i wtedy pilnował ich.

Pewne poruszenie dało zauważyć się w sali, gdy naprzód wystąpił detektyw z Londynu z wielkim notesem w ręku. Skłonił się z godnością i czekał na zapytania.

— Czy pan oglądał budynek, zwany szopą cygańską?

— Tak, obejrzałem go w towarzystwie miejscowego strażnika.

— Czy zwrócił pan baczną uwagę na stronę wewnętrzną, zewnętrzną i na okolicę — pytał dalej koroner.

— Tak.

— Proszę powiedzieć, co pan zauważył.

— Nie znalazłem najmniejszego śladu przejścia obozu cygańskiego, co jednak można łatwo wytłomaczyć ulewnym deszczem, który zaczął się o godzinie dziesiątej i trwał całą noc. Wewnątrz szopy, której podłogę stanowi miękka glina, zauważyłem tylko liczne odciski stóp ludzkich; nie przedstawiają one dla śledztwa żadnego interesu, z wyjątkiem jednak kilku, które zbadałem szczegółowo.

— Cóż to takiego? — zapytał koroner, niecierpliwiąc się długiem, powolnem opowiadaniem detektywa.

— Znalazłem — mówił dalej z niewzruszoną powagą detektyw — ślady stóp, które nie należą żadną miarą do osób, jakie znajdowały się wtedy jawnie w szopie.

Wszyscy zebrani, nie wyłączając nawet sir Johna, poruszyli się na swych miejscach, jakby dla zwrócenia pilniejszej uwagi.

— Są to odcisk' obuwia o niezwykle szerokiej podeszwie i obcasach, jakich używają turyści w swych wycieczkach. Odciski te, wyróżniające się widocznie od innych, znalazłem tylko na przestrzeni między drzwiami a oknem. Wnioskuję, że pozostawiła je osoba, która chodziła niecierpliwie po tem miejscu jakby w oczekiwaniu kogoś lub czegoś.

— Na czem pan opiera swój sąd, że są one świeże?

— Z powodu ich liczby: gdyby były dawne, z pewnością zostałyby zadeptane, jeżeli nie wszystkie, to większa ich część. Spostrzegłem ponadto, iż ślady stóp ofiary i tej osoby, były w jednem miejscu zwrócone do siebie. Oprócz tego, zamordowany padając na ziemię, oparł się na rękach, pozostawiając po nich wgłębienie koło siebie, jeden odcisk ręki był zadeptany przez wielki trzewik; na podstawie tego twierdzę, że osoba w tem obuwiu była jeszcze w szopie po morderstwie.

— Dziękuję panu za staranność, z jaką zbadał pan cały teren zbrodni, mimo iż nie posuwa to nas naprzód.

Potem, zwracając się do sędziów przysięgłych, dodał:

— Uważam, iż zeznania tych ludzi, którzy przenosili zwłoki zmarłego, nie powiedzą nam nic ciekawego, pozostaje więc jeszcze wysłuchanie opinii doktora. Pan doktór Markham!

Zbliżył się doktór, mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni. Dokonał on szczegółowych oględzin zwłok i znalazł w lewej piersi głęboką ranę szerokości tylko centymetra. Zadana ona została dość długiem, ostrem narzędziem i z wielką siłą, ponieważ koszula była rozcięta nawet na plecach. Broń zapewne była kierowana w serce, trafiła ona jednak tylko w płuca. Nóż ten, czy ten sztylet, musiał być z niezwykle dobrej stali i znakomicie zahartowanej, jeżeli nie złamał się w piersi rannego, przebijając go na wylot. Nie może określić ściśle wyglądu tej broni, podobną jednak miał już możność oglądać.

— W Peru? — rzucił zapytanie koroner.

— Nie, w Hiszpanii — odpowiedział doktór.

— Czy nic więcej nie ma do dodania pan doktór?

— To wszystko, co mogłem powiedzieć o zwłokach.

— A więc panowie — zwrócił się koroner do sędziów przysięgłych — to są wszystkie szczegóły, jakie zdołaliśmy zebrać o tym nieszczęśliwym wypadku. Panowie słyszeliście zeznania wszystkich świadków, jak również i pana Wilfreda Alliston, które wam przeczytałem. Przekonaliśmy się, że zmarły przed opuszczeniem Londynu wysłał depeszę do syna, w której wzmiankował o wezwaniu na jakieś spotkanie. O późnej godzinie znaleziono go w szopie cygańskiej z wielką raną, której prawdopodobnie sam sobie nie zadał. Stwierdziliśmy także, dzięki skrupulatnym poszukiwaniom jednego ze świadków, obecność nieznanej osoby w szopie równocześnie ze znajdowaniem się tam pana Ryszarda Allistona.

— Obecnie nie możemy niestety nic więcej wiedzieć o tym tajemniczym człowieku, jasnem jest tylko, że zostało dokonane morderstwo, którego dopuścił się najpewniej on sam. Na razie mamy stwierdzić tylko sam fakt śmierci. Proponuję tedy, aby uznać, iż śledztwo odkryło nie samobójstwo, lecz zabójstwo, popełnione przez nieznanego człowieka. Przystają panowie na to?

Sędziowie przysięgli chętnie dali na to swą zgodę i po podpisaniu odpowiedniego aktu, wszyscy zaczęli się zwolna rozchodzić.

Wilfred, ktory notował dla siebie wszystkie szczegóły na kawałku papieru, schował go troskliwie do kieszeni i podszedł do sir Johna, by się z nim pożegnać.

— Czy nie chce pan wracać razem ze mną? — zapytał zdziwiony baronet.

— Dziękuję uprzejmie, lecz jeżeli pan pozwoli, pójdę sam — mam różne rzeczy do spełnienia.

— W takim razie nie nalegam. Czy ma pan nadzieję odnalezienia klucza do tej tajemnicy?

— Chcę przyjrzeć się odciskom stóp w szopie — odparł Wilfred. — Po powrocie może będę mógł dać odpowiedź na to pytanie.

I kłaniając się, wziął kapelusz i wyszedł z sali.

## III.

Przed wieczorem, po śledztwie, pan Ponderbury siedział w swym sklepie, zamierzając zamknąć go wcześniej z powodu tych niezwykłych okoliczności. Zazwyczaj szedł on potem pod „Czerwonego Lwa“, by z ust stałych gości oberży zebrać wiadomości z całej okolicy, tego dnia jednak postanowił nie wychodzić z domu, wiedząc, iż wszędzie spotka tylko rozmowy na temat zabójstwa i swego udziału w odkryciu go. Rozmyślał właśnie o tem, gdy na progu ukazał się młody nauczyciel.

— Jest co nowego? — zapytał pospiesznie, sądząc z miny przybysza, iż przychodzi z jakiemiś wiadomościami.

— Jeszcze nic nie wiem — odpowiedział Alliston zadyszany. — Podobno ogłosili nagrodę za odkrycie zabójcy. Dwie godziny spędziłem w szopie na poszukiwaniach i znalazłem to.

— Co takiego? — zawołał zaintrygowany Ponderbury, pochylając się nad kontuarem. — Nic nie widzę.

— Jest to rzecz bardzo mała — odparł Wilfred i wyciągnął do niego rękę, by mógł lepiej przyjrzeć się. — Zdaje mi się, że to brylant.

— Istotnie i ja tak sądzę, że to jest prawdziwy a nawet ładny brylant — rzekł po chwili przyglądania się urzędnik pocztowy — nie widzę jednak jaki on może mieć związek z odkryciem mordercy.

— Rzeczywiście jest to drobnostka i może nie mieć żadnego znaczenia, ale tonący i brzytwy się chwyta. Jeżeli istotnie jest to brylant, to musi on należeć do osoby, która znajdowała się w szopie równocześnie z moim ojcem. Nie mógł on od dłuższego czasu leżeć w miejscu, gdzie go znalazłem, gdyżby go zadeptano w ziemi, bardzo zaś byłoby nieprawdopodobnem przypuszczenie, że go zgubili cyganie.

— Tak, to prawda, ale on mógł być własnością i pańskiego ojca, mógł wypaść ze szpilki od krawata, spinki lub pierścienia.

— Oh, mój ojciec nigdy nie nosił żadnych bižuteryi, z wyjątkiem złotego zegarka. Wiem o tem bardzo dobrze i jestem moralnie przekonany, iż ten brylant nie należał do niego.

— A czy zamierza pan w takim razie dać znać o tem do policyi, która może wiele skorzystać z tego odkrycia. Co pan o tem myśli?

— Nie — nie chcę zawiadamiać o tem nikogo, zwłaszcza zaraz. Jak sam pan twierdzi, nie stanowi to żadnego pewnego dowodu, a osobiście doświadczam pewnego bolesnego zadowolenia, zajmując się sam poszukiwaniem mordercy. Jeżeli znalazłbym coś ważniejszego, natychmiast poinformuję policyę, w każdym razie postanowiłem nie spocząć przed aresztowaniem sprawcy mego nieszczęścia.

Na słowa te wszedł Muskin, którego pan Ponderbury powitał swym zwykłym, trochę drwiącym uśmiechem.

— Dzień dobry, Joe, przyszedł pan zobaczyć się z Adą?

— Nietylko po to tutaj jestem; spodziewałem się spotkać pana Alliston i dowiedzieć się, czy odkryto co nowego. I ja chcę zająć się także tą sprawą.

— Doprawdy? — rzekł Wilfred z lekkiem zmarszczeniem czoła, wskazującem na zdziwienie.

— Mój Boże, dlaczegóżby nie. Jestem pewny, że pan Alliston nie pogniewa się, iż chcę mu w tem pomódz. Jest to, że tak powiem obowiązkiem wszystkich...

— A czy pan słyszał, że ofiarują dwieście funtów szterlingów za odkrycie winnego? — zapytał obojętnym tonem Wilfred.

— Oh, tak — rzekł Joe zaskoczony nagle, rumieniąc się i drapiąc po uchu — doszły mnie o tem jakieś wieści, ale...

— Ah, tak, rozumiem teraz — zawołał z głośnym śmiechem pan Ponderbry, powstrzymując się jednak zaraz z powodu obecności nauczyciela — byłem nawet pewny, że Joe pierwszy chwyci się tego. Ma pan wielką nadzieję, Joe, zagarnąć te dwieście funtów?

— Zdaje mi się, że mam takie samo prawo próbować, jak i każdy inny, czyż nie tak? — zapytał obrażony.

— Wydawało mi się, że pan wychodził niedawno z szopy cygańskiej, lecz może się mylę? — odezwał się Wilfred.

— Tak, widział pan dobrze. To ja byłem i to z łopatą, by wyciąć z ziemi jeden odcisk stopy, które są jeszcze bardzo wyraźne; zaniosłem go do domu i wysuszę przy piecu. Sam pan rozumie, że to ma znaczenie, a ja nie chcę stracić żadnej sposobności.

— Oh! Joe się na tem rozumie — szepnął półgłosem pan Ponderbury, nie zwracając się jednak do nikogo w szczególności.

— Jestem panu, panie Muskin, bardzo obowiązany za pomoc w tej sprawie. Pan będzie prawdopodobnie bardzo zadowolony, gdy dowie się, że w szopie spędziłem większą część dnia i znalazłem ten brylant. Tak przynajmniej zdaje mi się, a co pan sądzi?

Joe przez kilka chwil przyglądał się bacznie kamieniowi, rzucając z pod oka spojrzenia na pana Pondebury, czy ten go obserwuje. Zmieszany tem, iż przyszły teść śledzi jego ruchy, pokiwał powątpiewająco głową:

— To nie jest brylant, panie Alliston — rzekł wreszcie zażenowany przypatrywaniem się sobie —

jest to tylko kawałek rżniętego szkła. Czy wyrzucić je?

— By go potem podnieść — dodał Ponderbury, biorąc mu brylant z ręki i oddając Allistonowi.

— Chcę go na wszelki wypadek zachować — rzekł Wilfred. — Uważam, iż jest to brylant, zgubiony przez osobę, która zamordowała mego ojca. Możliwe, że się mylę, nie chcę zaniedbać jednak żadnej, najmniejszej nawet wskazówki.

— Oh, jak pan chce. Sądzę, że nie będzie z tego żadnego pożytku, każdy jednak postępuje według siebie.

— Trudno, by było inaczej — odpowiedział zimno Wilfred. — Teraz jednak muszę już iść — dodał, zwracając się do pana Ponderbury'ego. — Chciałbym jeszcze przed nocą rzucić okiem do szopy. Dobranoc panie Ponderbury, dobranoc panie Muskin.

Przy słowach tych Wilfred wyszedł. Idąc drogą, pogrążony w swych myślach, zdziwił się nagle, widząc otwarty powóz przed drzwiami małej, biednej lepianki.

W powozie siedziała młoda, dwudziestoletnia panna o miłej szczerej twarzy, ciemnych kręcących się włosach, spiętych pod lekkim słomkowym kapeluszem. Poznając Wilfreda skłoniła się ceremonialnie, poczem rzuciwszy szybko wzrokiem w stronę lepianki, przechyliła się z powozu, jakby chciała mu coś powiedzieć.

— Dobry wieczór, miss Lesterham — rzekł Wilfred, kłaniając jej się z powagą i zatrzymując się na ruch, jaki uczyniła ręką.

— Oh, panie Alliston, pan nie może uwierzyć jak czujemy się przejęci tą straszną wieścią; pan tak wiele musi cierpieć! Jestem bardzo zadowolona, że mam sposobność wyrażenia panu całej swej sympatyi i chęci przyjścia panu z pomocą. Ja...

Urwała nie kończąc: Wilfred spojrzał w kierunku jej wzroku i ujrzał matkę jej, lady Lesterham, wychodzącą z tego domku. Mijając ogródek, by dojść do powozu, przyłożyła szkła do oczu i spojrzała uważnie na rozmawiających. W przeciwieństwie do swego męża nie okazywała żadnej życzliwości młodemu nauczycielowi i obecnie ze zmarszczką na czole odpowiedziała niedbale na jego ukłon. Była to druga żona sir Johna; nie miała więcej nad czterdzieści lat, blada jej jednak i ostra twarz, odpychała od niej mieszkańców miasteczka, którzy w pierwszej lady Lesterham widzieli swego anioła stróża.

— Przypuszczam — odezwała się lodowatym tonem — że Gracya powiedziała już panu, jak sir John i ja odczuwamy ten straszny wypadek. Nic więcej nie mogę dodać. Żegnam pana!... Do zamku, Jakóbie!

Ostatnie słowa skierowane były do woźnicy, poczem powóz szybko pomknął naprzód.

Wilfred dotknięty tem zimnem przyjęciem, chociaż oddawna był już przyzwyczajony do jej zachowania się względem siebie, przez chwilę pozostał na miejscu, patrząc za odjeżdżającemi. Zdawało mu się, że Gracya obróciła się, lecz zapewne powstrzymana przez macochę, natychmiast cofnęła się z powrotem. Gdy znikły mu z przed oczu, westchnął i poszedł naprzód.

Zwolna zbliżał się do szopy, gdy nagle w odległości kilku metrów zatrzymał się. W środku ktoś był. Bez szelestu podsunął się do drzwi, przez które w chwili tej właśnie wychodził wysoki mężczyzna o dystyngowanej powierzchowności, ubrany w elegancki modny garnitur. Spostrzegając Wilfreda, skłonił mu się uprzejmie.

Nauczyciel spoglądał na niego z ciekawością, a zarazem i podejrzliwością, podczas gdy przybysz uchylił znowu kapelusza, wytrzymując ten egzamin spokojnie, a nawet z lekkim uśmiechem, jakgdyby zdziwienie nauczyciela bawiło go.

— Spodziewam się — rzekł wreszcie — że wejście tutaj nie jest wzbronione. Jestem zupełnie obcy w tych stronach, a nawet w Anglii, którą opuściłem już przed wielu laty.

— Miejsce to jest publiczne — odpowiedział zimnym tonem Wilfred, nie mogąc oderwać od niego oczu — narazie jednak szopa ta nabrała pewnego znaczenia...

— Tak, rozumiem. Usłyszałem o zbrodni tej w Londynie. Więc to tutaj Ryszard Alliston znalazł śmierć w tak tajemniczy sposób.

Wilfred pochylił głowę na znak potwierdzenia, patrząc jednak ciągle na nieznajomego.

— Przybyłem dzisiaj rano, by zobaczyć miejsce...

— Dzisiaj rano? — przerwał Wilfred, myśląc, czy szczęśliwy przypadek nie naprowadza go na ślady...

— Tak, dzisiaj. Nie mogłem oprzeć się chęci, by nie zobaczyć miejsca, w którem mój nieszczęśliwy przyjaciel...

— To pan znał mego ojca? — zawołał młody nauczyciel.

— Pańskiego ojca! Więc pan jest tym synem, którego przyjechał ujrzeć mój stary przyjaciel?

— Tak, ja jestem Wilfred Alliston — odpowiedział, ściskając serdecznie podaną sobie rękę — Proszę mi wybaczyć me zimne powitanie, lecz w takich okolicznościach jest się skłonnym do podejrzeń i ja. w tej chwili, ja...



Bez szelestu podsunął się do drzwi, przez które wychodził wysoki mężczyzna.

— Myślałeś pan, czy przypadkiem nie jestem mordercą lub przynajmniej jego wspólnikiem, prawda?

— Nie, ja... to jest...

— Oh, to drobnostka, nie zastanawiajmy się nad tem. Pojmuję zupełnie pańskie pragnienie rozjaśnienia tej tajemnicy. Jest to dla pana straszny cios. Prawą rękę poświęciłbym, by nie dopuścić do tej wstrętnej zbrodni. Ale jeszcze nie przedstawiłem się — jestem Hammerton, John Hammerton, z Limy w Peru, gdzie mam magazyn.

— Ah, z miasta, gdzie mój ojciec mieszkał. Nie mogę jednak tutaj zatrzymywać pana, mój dom znajduje się na przeciwnym końcu miasteczka, czy zechce mi pan towarzyszyć? Nadchodzi już pora kolacyi, może pan pozwoli do mnie, swobodniej będziemy mogli rozmawiać w mieszkaniu: pan, przybywając z daleka, zapewne jest zmęczony.

— Z prawdziwą przyjemnością pójdę z panem. Nie zamierzałem dłużej tu pozostać, lecz to nic nie znaczy i tak mnie nikt nie oczekuje w Londynie.

— A więc chodźmy: o tyle rzeczy mam pana spytać się!

— Szczęśliwy będę, jeżeli zdołam panu coś pomódz w tej sprawie.

W milczeniu przeszli przez miasteczko i weszli do domu nauczyciela, gdzie stara i głucha służąca krzątała się już koło kolacyi. Wilfred z trudnością na poły słowami, na poły migami zdołał jej wytłomaczyć, by nakryła na dwie osoby, poczem wprowadził swego gościa do jadalnego pokoju i zaprosił do stołu.

— Pan więc znał mego ojca. Proszę, niech pan mi mówi o nim wszystko! Tak dawno go nie widziałem i tak mało znam jego życie.

— Byłem w zażyłości z pańskim ojcem, już, zdaje mi się, od dwudziestu lat. Jak to czas biegnie. Razem na jednym statku przyjechaliśmy do Liwerpoolu i razem jednym pociągiem wyruszyliśmy do Londynu. Spodziewałem się, iż mniej więcej po dwóch miesiącach wspólnie odbędziemy i powrotną podróż. Czyż mogłem przypuszczać ,iż rozstając się z nim w Londynie, nie ujrzę go już więcej!

— Czy ojciec mój miał wielu przyjaciół w Peru?

— Przyjaciół? Wszyscy, którzy go znali, byli mu przyjaciółmi. Pan Alliston był prawdziwą opatrznością Anglików w Limie. W całem mieście nie znalazłby pan nikogo, ktoby nie mówił o nim dobrze. Jeżeliby jeszcze przed tygodniem powiedział mi pan, że ma on nieprzyjaciela, roześmiałbym się na to... a jednak...

— A jednak — rzekł Wilfred — śmierć jego jest dziełem nieubłaganej nienawiści. Pewny jestem tego: mój ojciec był biedny i powierzchowność jego nie była taką, by mogła wzbudzać chciwość zawodowych złodziei. W przekonaniu, iż zabójca jego nie był zwykłym opryszkiem, umacnia mnie i rzecz znaleziona w tem samem miejscu, gdzie zastałem umierającego ojca.

— Co takiego?

Wilfred wyjął z kieszeni brylant zawinięty w bibułkę i podał go swemu gościowi.

— Zdaje mi się, że to brylant.

— Oh, tak. Zupełnie prawdziwy brylant, znam się na tem, gdyż to należy do mojego zawodu. Niech pan popatrzy, rzekł nalewając do szklanki wody i wpuszczając go do środka: oto najjaśniejszy dowód. Widzi pan, jak brylant błyszczy, mimo iż jest w wodzie.

— Istotnie, widzę — odpowiedział Wilfred, biorąc szklankę do ręki i przyglądając się jej z ciekawością. — Świeci się jak i przedtem.

— Najzupełniej. Jeszcze nigdy nie widziałem, by fałszywy kamień wyszedł z takiej próby zwycięsko, ten jest wobec tego prawdziwy. Poznałem go zaraz po rżnięciu i oszlifowaniu, fecz chciałem i ten dowód przeprowadzić, by pana przekonać. Ma się rozumieć, że z powodu niewielkiego rozmiaru, nie ma on wielkiej ceny.

— W każdym razie jest to brylant?

— Zupełnie prawdziwy.

— Człowiek dopuszczający się morderstwa dla małej, nieznacznej korzyści, nie nosiłby podobnych kosztowności?

— Z pewnością. Pan więc sądzi, że morderca miał ten brylant przy sobie w chwili napadu?

— Tak, znalazłem go na ziemi, w miejscu, na które upadł raniony ojciec. Przytem podłoga w szopie, jak to pan zapewne zauważył, jest z gliny na której pozostają odbite najlżejsze odciski nóg. Brylant ten spostrzegłem właśnie w wgłębieniu po stopie swego ojca, z czego wnoszę, iż kamień ten został zgubiony po jego tam wejściu. Bardzo prawdopodobne, iż wypadł on zbrodniarzowi z pierścienia w czasie walki.

— Jestem w zupełności pańskiego zdania i przypuszczenie to jest jak najsłuszniejsze.

— Mógłby kto sądzić, że brylant ten upadł tam potem, lecz do szopy wchodzili tylko tutejsi biedni mieszkańcy, którzy nie noszą tak cennych kosztowności. Zdaje mi się przytem, iż trzeba użyć pewnej siły, by wyrwać brylant z oprawy?

— Bez wątpienia. Czy pan uprzedził już policyę o tem odkryciu? Sądzę jednak, iż należy zachować je do czasu w tajemnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Niezwykłe samobójstwo.

(Do illustracyi na str. 10).

Jakiekolwiek bądź zdanie mając o samobójstwie, jedno stwierdzić należy, że człowiek, który decyduje się na czyn desperacki pozbawienia się życia, nie jest, przynajmniej w danej chwili, normalnym człowiekiem. Samobójstwo tedy — to wynik psychozy, a ludzie, padający jej ofiarą, zasługują raczej na politowanie, niż na pogardę. Obłąkany za czyny swe nie odpowiada, tak samo nie można pociągnąć do odpowiedzialności, oczywiście tylko moralnej, samobójcy. Nie idzie jednak zatem, aby traktować samobójstwo, jako objaw chorobliwy, przeciw któremu wola ludzka jest zupełnie bezsilną, bo wiadomo, że w wielu cierpieniach umysłowych wola ta i panowanie nad własnymi nerwami, odgrywa ważną rolę zapobiegawczą. Obowiązkiem więc jest człowieka wolę tę hartować, tak, aby nawet w najfatalniejszych sytuacyach życiowych, mógł znaleść w niej oparcie przed skłonnością do samobójstwa, które stanowi często radykalne, ale niezgodne z etyką wyjście z takich sytuacyj.

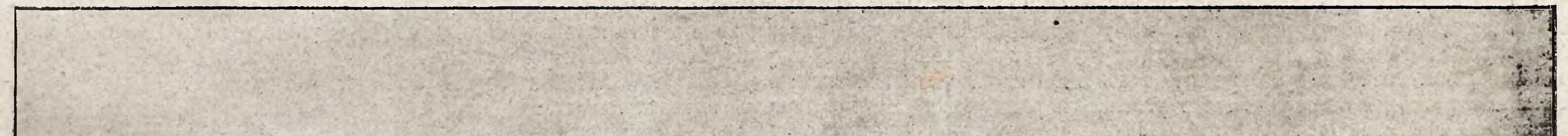
Niestety widzimy, że ludzie słabej woli zapominają o tem i nie chcąc ponosić skutków własnych błędów, szukają w samobójstwie ucieczki przed nimi. W ostatnich zaś czasach bywają wybredni w wyborze środków przy pozbawianiu się życia. Rewolwer, trucizna, rzucanie się pod koła pociągu i t. d. już im nie wystarcza, chwytają się nawet tak silnych środków, jak dynamit.

Tego ostatniego środka użył porucznik Schneider z 10 batalionu pionierów w Przemyślu, który nabojem dynamitowym, zapalonym od cygara, został rozerwany w strzępy. Detonacya była przytem tak silna, że słyszano ją daleko po za murami koszar przy ul. Lipowej górnej i wyrządziła znaczne szkody w mieszkaniu nieszczęśliwego desperata.

W pierwszej chwili po wybuchu powstała pogłoska, jakoby porucznik Schneider zamierzał, odbierając sobie życie, wysadzić w powietrze także członków sądu honorowego, przed którym miał stanąć. Pogłoska ta okazała się jednak zupełnie pozbawioną podstawy. Porucznik Schneider, zrujnowany zupełnie finansowo z powodu życia nad stan, zmuszony był złożyć szarżę oficerską, a nie posiadając widocznie dość siły woli, aby rozpocząć życie w nowych warunkach i czując się dotkniętym utratą stanowiska, uciekł się do niezwykłego środka samobójczego. Na szczęście nikt inny nie ucierpiał z powodu eksplozyi ładunku dynamitowego.



**Skutki katastrofy:** Pościg za złoczyńcami, rabującymi wśród ruin.




**Skutki katastrofy:** Ocaleni mieszkańcy Messyny znajdują przytułek w wagonach kolejowych.

# Kronika tygodniowa.

(Katastrofy kolejowe. — Sparsystem i vis major. — Informowanie publiczności. — Obstrukcya w parlamencie, jej przyczyny i skutki. — Znowu bummel. — Rząd sprzyja krajowi. — Bojkot. — Wiluś i Edzio. — Drobiazgi).

Coraz częściej czytujemy o rozmaitych katastrofach kolejowych, które mnożą się, jak grzyby po deszczu. Dotąd przywilej na nie miała głównie dyrekcya stanisławowska, obecnie ubiega się o pierwszeństwo Nordbanka. Zapytywałem się jednego ze znajomych urzędników kolejowych, co jest ich przyczyną i dowiedziałem się, że jest dwu winowajców, którzy muszą za wszelkie kolejowe wypadki przyjąć na siebie całą odpowiedzialność, a nazwiska ich: vis major i sparsystem. Zgadzam się z tem, że pierwszego z nich nieraz uniknąć się nie da, ale co do drugiego, to winę już ponosi sam rząd we własnej osobie, że mu dotąd karku nie ukręcił. Kolej jest przedsiębiorstwem przewozowem, które rządowi daje milionowe zyski, powinien też ów rząd pamiętać o tej dojnej krówce i więcej jej okazywać troskliwości. Że personal kolejowy jest ze względów oszczędnościowych przeciążony pracą, to każdy musi przyznać, a być tak nie powinno, gdyż w ręku jego jest życie i zdrowie tysięcy ludzi. Słusznie też powiedział jeden z kolejarzy, że każdy z nich jest jedną nogą w kryminale, drugą w szpitalu. Oszczędnosc jest tu nawet źle pojęta, za oszczędzone na materyale i personalu setki lub choćby tysiące, płaci rząd miliony jako odszkodowania po różnych katastrofach.

Drugą rzeczą, którą przy tej okazyi należy również zaznaczyć i napiętnować, jest odmawianie wprost, lub podawanie fałszywych wiadomości przez urzędy kolejowe o zaszłych katastrofach. Proszę sobie wyobrazić uczucia osobnika inteligentnego, który oczekiwał na dworcu kolejowym na kogoś z rodziny i dowiaduje się tylko, że pociąg się spóźnił, ale słyszy jak służba kolejowa półgębkiem sobie opowiada, że pono pociąg się wykoleił, są ranni i zabici. Idzie więc do urzędnika ruchu i zapytuje, ale odpowiedź zawsze ta sama:

— Pociąg spóźniony, zaraz przyjdzie. Co się tam stało, nie wiemy!

Takie odpowiedzi osiągają skutek wprost przeciwny, niżby sobie życzył zarząd kolejowy. Zamiast uspokoić, rozdrażniają tylko niepotrzebnie, gdyż lepszą jest pewna choć smutna wiadomość, niż niepewne oczekiwanie.

Z powyżej przytoczonych powodów i ja stałem się obecnie kolejofobem i dla tego też nie pojechałem do Wiednia, aby się osobiście przypatrzyć i przysłuchać obradom naszego parlamentu, który w dniu 20 stycznia rozpoczął znowu odgrywanie komedyi, zwanej obradami. A sytuacya wcale nie brylantowa. Na porządku dziennym, rzecz prosta, sprawa czesko-niemiecka, od lat pokutująca w Izbie poselskiej. Jak wiadomo, wielu polityków połamało na niej już zęby, żaden z nich nie potrafił ani rozwiązać, ani rozciąć owego gordyjskiego węzła. Obecnie zaostrzyła się znowu i jak przypuszczają znający tajne arkana polityki, przyczyni się do odroczenia Izby. Parlament wobec tego obradować ma do końca lutego, aby stronnictwom dać sposobność do wygadania się i wyszumienia, potem sesyę się zamknie, a rząd na podstawie §. 14 załatwi konieczności państwowe. Zwołanie parlamentu nastąpiłoby dopiero w czerwcu, a w międzyczasie utworzonoby definitywny gabinet urzędniczy. Tak przedstawia się obecne położenie w okresie rozdwojonych stronnictw, gdyż jak wiadomo nastąpił rozłam wśród konserwatystów, ludowców, narodowych demokratów nawet starorusinów. Serbia cieszy się, nawołując do wojny z Austryą, anarchią panującą w kraju i nie bardzo się myli, gdyż obecne stosunki trudno inaczej nazwać. W parlamencie rozpoczyna się obstrukcya, pruski agitator Wolf rozpoczyna znowu awantury, a poseł Fressl popisuje się trzygodzinną mową *de omnibus rebus et quibusdam aliis*.

Prezerwatywą na podobne popisy ma być nowy regulamin Izby, na który się jednak poszczególne stronnictwa jakoś nie mogą zgodzić. Poseł Adler oświadczył w imieniu socyalistów, że poprą oni wszystko, co się może przyczynić do podniesienia zdolności pracy parlamentu, zwalczać zaś będą wszelkie zakusy, dążące do zmniejszenia powagi i władzy Izby. Co jednak dla jednego stronnictwa jest pożądanem, to drugiemu się nie podoba, a żaden chyba parlament nie posiada tyle stronnictw, co austryacki, już rozmaitością języków przypominający wieżę Babel, tylko, że tam, jak mówi Biblia, pomieszały się języki, tu pomieszane są bardzo często i języki i mózgi. I to właśnie powód, że ów regulamin, któryby mógł uzdrowić stosunki, nie może dojść do skutku i pozostaje ciągle tylko w sferze pobożnych życzeń.

Źródłem owych parlamentarnych dolegliwości jest Praga. Słusznie twierdzi prasa, że jest rzeczą urągającą zdrowemu rozsądkowi i powadze rządu, że w Pradze studenci niemieccy decydują o tem, czy będzie panować spokój, czy wybuchną bummlowe demonstracye. Dla Czechów jest taki prusofilski bummel po Przykopach prowokacyą ze strony mniejszości niemieckiej i dziwić się wypada, że rząd, który zdecydował się na zaprowadzenie sądów doraźnych, nie zdobędzie się raz na krok energiczny i nie zakaże owych prowokacyjnych spacerów lub choćby nie przeniesie ich na jakiś bardziej ustronny plac miasta. Powracają znowu poprzednie karygodne wybryki, jak to mieliśmy sposobność skonstatować po ostatnim niedzielnym bummlu, podczas którego przyszło znów do bójek przy odgłosie „Wacht am Rhein“, a które uspokajać musiano przy pomocy siły zbrojnej. Nie dziwię się Czechom, że bronią się przeciw napaściom niemieckich młokosów, po części nie dziwię się nawet niemieckim burszom, bo młodemu zawsze pusto w głowie, ale nie mogę pojąć, jak starzy ludzie, posłowie i profesorowie uniwersytetu, więc ludzie mądrzy, bo za takich prawdopodobnie uchodzić by pragnęli, mogą się solidaryzować z wybrykami młokosów i jeszcze leją łzy krokodyle, że młodzież niemiecka naruszoną jest w wykonywaniu swych praw obywatelskich. Już to prawdziwem jest przysłowie, że „kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera“. Widocznie sprzykrzyło się niebiosom zachowanie się Szwabów i postanowiły ich ukarać, zaćmiewając ich i tak nie bardzo z natury bystry rozum. Rząd powinien przyczynić się także do tego, wylewając na szwabskie pałki parę kubłów zimnej wody, z których pierwszym powinno być zakazanie owych prowokujących spacerów.

Drugi powód niezadowolenia Czechów i czeskich Niemców, popieranych przez ogół niemiecki z Austryi i za granicą, to podział Czech na część niemiecką i czeską i uregulowanie sprawy języka urzędowego w kraju, co jednak tak łatwo, jak rzecz poprzednia, załatwić się nie da. Ostatni spór językowy na pocztach czeskich załatwiono pomyślnem rozporządzeniem ministeryalnem, sprawy jednak samej definitywnie nie załatwiono, gdyż na to ani Czesi, ani Niemcy nie chcą się zgodzić. Wiele jeszcze wody upłynie w Wełtawie i Dunaju, nim nastąpi tak pożądany spokój w krajach korony św. Wacława, a każdym razie życzyćby sobie należało, by rząd wziął się energicznie do tego, nie oglądając się na wrzaski kilkuset wszechniemców, sercem swem grawitujących ku Berlinowi. Czesi powinni uzyskać, co im się słusznie należy, zwłaszcza, że przez to inna narodowość żadnej zgoła szkody nie ponosi. Jeśli uspokoi się w Czechach, spokojniej będzie i w Wiedniu a parlament będzie mógł przecież raz zabrać się do intensywnej i wydatnej pracy, której ciągle oczekujemy, ale doczekać się jakoś nie możemy.

Skutkiem owej niezdolności do pracy najdotkliwsze szkody ponoszą inne kraje koronne, nie mogąc się doczekać spełnienia swych postulatów. Rząd sprzyja krajowi, obiecuje też złote gruszki na wierzbie, czemu jednak ostatecznie i dziwić się nie trzeba, gdyż rząd ma związane ręce bezczynnością i bezsilnością parlamentu. Galicyi np. obiecano załatwienie sprawy kanałowej, którą jednak odkłada się z roku na rok. Zwłaszcza teraz możemy być pewni, że odłoży się je ad *calendas graecas*, gdyż jakiś meteorolog zapowiedział, że rok ubiegły jest początkiem trzydziestoletniego okresu posuchy. Skoro nie ma nastać posucha i nie będzie obawy wylewów, to nie opłaca się wydawać pieniędzy na kanały, gdyż potrzebne są na armaty i odszkodowanie dla Turcyi. Czy więc kanałami, czy inną drogą, pieniądze znajdą zawsze odpływ, choćby ich było jak najwięcej.

Owe odszkodowanie dla Turcyi powinno być jak najrychlej wypłacone, gdyż wtedy dopiero ma ustać bojkot, który dał się naszym kupcom i przemysłowcom porządnie we znaki. Zaborcza polityka, na jaką Austrya przecież raz się zdecydowała, ma trochę dla niej fatalne następstwa, a już najboleśniej odbija się na naszych konsulach na Wschodzie, którzy mimo swej nietykalności, narażeni są na napaści sfanatyzowanego tłumu, jak to miało miejsce w ostatnim tygodniu. Turcya obiecuje zakazać bojkotu, czego jednak nie robi. Serbia i Czarnogóra zbroją się na gwałt, politycy europejscy kiwają na to poważnie głowami a najgorzej wychodzi na tem kieszeń podatników, którzy za owe eksperymenty zapłacą ze swej kieszeni. Jedną tylko korzyść moglibyśmy odnieść z tej afery, mianowicie nauczyć się od Turków jak się prowadzi bojkot racyonalny.

Jak wogóle wszystko u nas, tak i bojkot prowadzi się u nas niedołężnie. Nie brakuje wprawdzie osobników, które nawołują do bojkotowania wyrobów pruskich, jednak głos ich odbija się tylko głuchem echem w przestrzeni, a już najmniej robią so bie z niego niektórzy kupcy. Że tak jest w rzeczywistości, przytoczę na to dowody. W ubiegłym tygodniu zauważyłem w jednym ze sklepów galanteryjnych na wystawie jakieś nowomodne spinki, służące do przytwierdzenia mankietu do rękawa koszuli, a na kartonie, na którym były umieszczone, widniały wspaniale w złocie wybite głoski; D. R. G. M. (Deutsche Reichs-Gesetz-Marke) co jest niechybnym dowodem, że towar ten jest pruskiej proweniencyi. Dziwić się wypada owemu kupcowi, który należy do poważniejszych w Krakowie a do tego stopnia lekceważy sobie opinię publiczną, że podobny okaz pozwolił sobie umieścić w oknie wystawowem. W innym sklepie znalazłem znowu farby malarskie, których w Krakowie artyści spotrzebowują tak wielką ilość, z marką: jedne berlińską, drugie düsseldorfską. Czyż nie mamy farb krajowych, a jeśli już czujemy wstręt do tego co swojskie i koniecznie pragniemy towaru z zagranicy, czy farby francuskie nie są stokroć lepsze od niemieckich?

Winić tylko kupców nie możemy, część winy musi przyjąć na siebie i społeczeństwo, gdyby bowiem towarów pruskich nie poszukiwano, to i kupcy by ich nie sprowadzali, gdyż wedle popytu regulują się podaż, ale niestety wielu mamy takich, co to głośno manifestują często swe sympatye dla akcyi bojkotowej, a cichaczem, w cztery oczy w sklepie przedkładają wyroby niemieckie nad swojskie. Przypomina się historya o owym eleuteryku, co to głośno propagował idee abstynencyi a co wieczór „do poduszki“ kupował dla siebie pół butelki śliwowicy, którą trzymał jednak zawsze pod kluczem, aby nie dać przypadkiem złego przykładu.

Z uznaniem zaznaczyć też należy enuncyacyę krakowskiego *Kupca polskiego*, organu naszego kupiectwa, który wyraźnie w Nrze 2. z dnia 15 stycznia stwierdza, że kupiectwo polskie czuje się solidarne z całem społeczeństwem, akcyi bojkotu nie zaniecha i nie przestanie nawoływać zarówno kupców jak i publiczność, aby pamiętano o tym narodowo-ekonomicznym obowiązku.

W Berlinie nastąpiła zupełna depresya, wywołana jednak nie polskim bojkotem, ale będąca skutkiem niefortunnych występów polityczno-oratorskich cesarza Wilhelma. Wogóle Wiluś jest obecnie nie do poznania, prawie że publicznie się nie pokazuje i nie przemawia, chyba do gramofonu, a co najważniejsze, w jego pięćdziesiątą rocznicę urodzin nie słychać jakoś o nadzwyczajnych przygotowaniach, co w innych warunkach miało by z pewnością miejsce. Rozrusza się dopiero Berlin, gdy zjedzie wujaszek Edzio, który chyba tylko chciał być grzecznym i nie psuł krwi siostrzeńcowi.

Jak więc z wszystkiego widać, znikome są wszelakie nadzieje ludzkie i lada podmuch wiatru rozprasza wszystko, jak ów dym z papierosów i cygar, których tyle wypalamy. Gdym wyczytał, że w Austryi wypalamy rocznie 37 milionów kilogramów tytoniu, co przynosi rządowi 247 milionów koron, jakaś otucha wstąpiła w moje serce, gdyż widać z tego, że jeszcze nie zeszliśmy całkiem na psy, skoro tyle grosza możemy puszczać z dymem. O podniesieniu się dobrobytu ludów, zamieszkujących kraje w Radzie Państwa reprezentowane i o wyrobieniu się u nich smaku, świadczy okoliczność, że podlejsze gatunki tytoniu i cygar nie cieszą się wcale popytem, natomiast droższe sorty znalazły wielu bardzo amatorów.

Dla dopełnienia wiadomości, mogących zająć P. T. Czytelników, wspomnieć muszę o krakowskiem Towarzystwie Ochrony zwierząt, które coraz bardziej i pomyślniej się rozwija, o nowej Radzie miejskiej w Podgórzu, urzędującej już całą siłą pary, oraz o krakowskim tramwaju, który pozazdrościł Nordbance i urządził w dniu 26 b. m. zderzenie wozów połączone z wybiciem szyb, zresztą bez dalszych złych skutków.

X.

## Na czatach.

(Do illustracyi na str. 2).

Nierozsądne żywioły polityczne, rozdmuchujące patryotyzm a raczej najgorszego gatunku szowinizm w Serbii, popychają ten kraik na drogę awanturniczą, która musi go doprowadzić do katastrofy.

Podobne wystawianie na próbę cierpliwości Austro-Węgier, może mieć dla Czarnogóry fatalne następstwa i to tem groźniejsze, ponieważ wątpliwem jest, czy ci, co popychają ks. Nikitę do konfliktu z ościennem mocarstwem, w danym razie pospieszą mu z czynną pomocą.

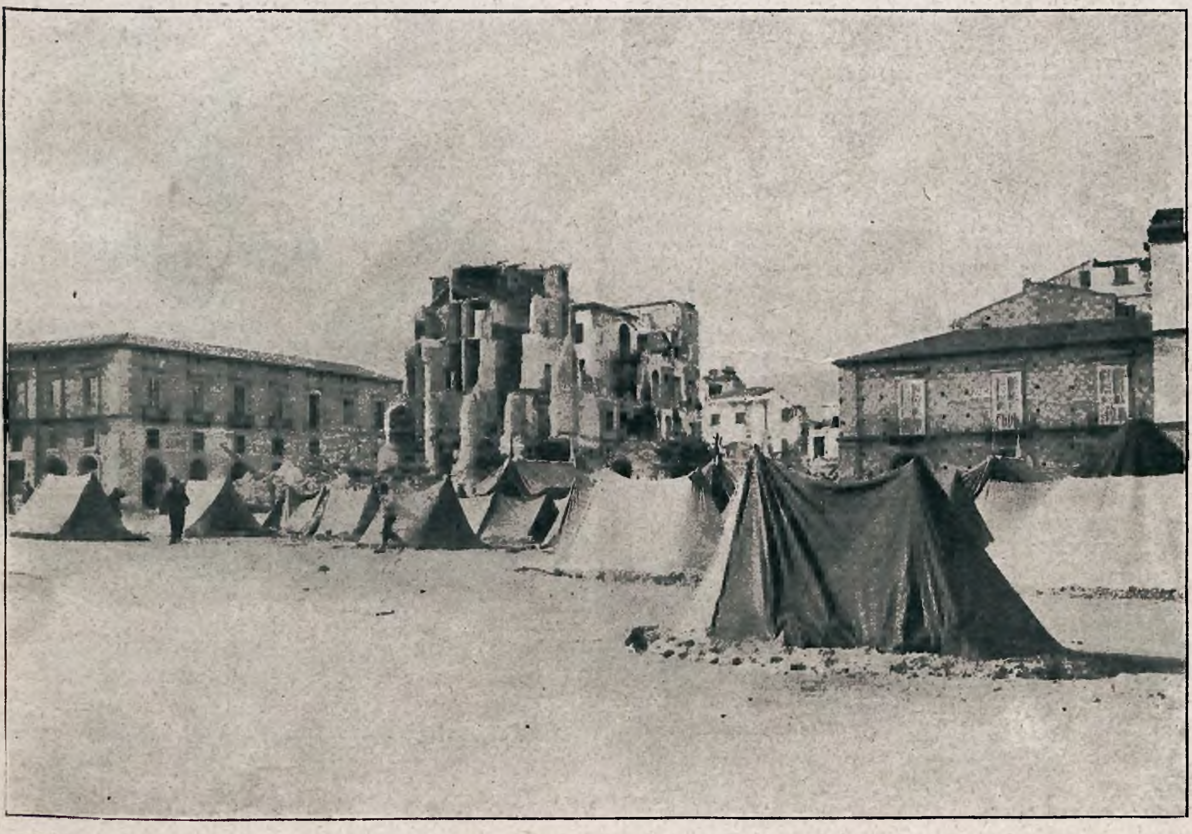
Z zamiarem nadania większego efektu swej wojowniczej postawie, Czarnogórcy uzbrajają pilnie pozycye nadgraniczne. Oczywiście, najważniejszą jest dla nich okolica, którędy prowadzi jedyna bita droga z Kotoru do Cetynii, a która panuje nad tem miastem i twierdzą kotorską, posiadającą dość słabe starej konstrukcyi obwarowania od strony lądu.



Skutki katastrofy: Wnętrze jednego z zawalonych domów w Reggio di Calabria.

W Czarnogórze zaś rolę tych żywiołów odgrywa sam książę Nikita, który nie wyzbył się dotąd mrzonek wielkoserbskich. W jego państewku, pomimo parodyi parlamentu, jaką jest czarnogórska skupczyna, niema mowy o jakichś stronnictwach politycznych, więc on sam kieruje jego polityką. Pokazało się to jasno, gdy kilka dni temu skupczyna czarnogórska uchwaliła rezolucyę, trzymaną w takim tonie, jak gdyby Czarnogóra była w przededniu wypowiedzenia wojny Austro-Węgrom i jakgdyby mogła się z nimi mierzyć.

Rycina nasza przedstawia baterye czarnogórską — armaty ją stanowiące są podarunkiem króla Wiktora Emanuela — ustawioną na zboczach góry Lovczen, skąd roztacza się jedyny w swoim rodzaju widok na Bocche di Cattaro i daleko w głębi położony Kotor.



Skutki katastrofy: Obóz wojskowy wśród ruin Messyny.

## Jeszcze jedna szkoła zawodowa w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 2).

Rękodzielnicy nasi, szczególniej po większych miastach, odczuwają coraz to silniej potrzebę podniesienia i uzupełnienia swych wiadomości w tym stopniu, aby ich wyroby stanęły na wysokości, wskazanej dzisiejszemi wymaganiami. Do tego celu prowadzi ciągłe doskonalenie się w stronie technicznej swego zawodu, które ułatwia pomnażanie odnośnych wiadomości teoretycznych.

Kierowany tymi względami sławetny cech piekarzy krakowskich, postanowił założyć szkołę zawodową dla uczniów rękodzieła piekarskiego. Postanowienie to spotkało się z tem większym uznaniem całego Krakowa, ile że wyroby piekarskie w tem mieście wiele pozostawiają do życzenia. Obecnie wolno się spodziewać, że wymieniona szkoła, do której zapisało się około 70 uczniów piekarskich i kilku czeladników, wychowa cały zastęp młodych fachowców, mogących w przyszłości przywrócić krakowskim wyrobom piekarskim ich dawną a zasłużoną dobrą opinię.



Nadużycia w warszawskim magistracie: W. Litwinskij, ustępujący prezydent miasta Warszawy.

Otwarcie szkoły odbyło się dnia 24 bm. w gmachu Szkoły miejskiej przy pl. św. Ducha po nabożeństwie odprawionem w kościele św. Krzyża. W uroczystości otwarcia wzięli udział, oprócz uczniów i ich nauczycieli: prezydent miasta dr. Leo, radca magistratu dr. Zaczek, instruktor przemysłowy dr. Ostrowski, starszy inspektor zakładu dla badań środków spożywczych dr. Bier, oraz starszyzna cechu.

Po pierwszym mówcy katechecie szkoły ks. Masnym, zabrał głos p. Bałuk imieniem cechu piekarzy białych, oddając szkołę do użytku publicznego, dalej mówił dr. Bier, zachęcając uczniów do intenzywnej nauki. Prezydent dr. Leo podniósł z uznaniem, że jest to siódma z rzędu szkoła zawodowa w naszem mieście, co świadczy o zrozumieniu przez rękodzielników krakowskich doniosłości szkół podobnych, a zakończył przemówienie dr. Ostrowski, wskazując znaczenie i praktyczną doniosłość szkoły.

Następnie zgromadzeni udali się na dziedziniec szkolny, gdzie nasz fotograf redakcyjny dokonał z nich udatnego zdjęcia.

## Śmiertelny skok.

Od wielu lat goszczący w Warszawie cyrk Ciniselli'ego był w dniu 22 stycznia widownią wstrząsającego nerwami wypadku. Według programu jednym z punktów drugiej części przedstawienia miał być nadzwyczajny popis nurka. Przed popisem zawiadomiono, że p. John de Ceryl, wykona za chwilę z wysokości 120 stóp skok do basenu napełnionego wodą, wobec czego uprasza się publiczność, aby w czasie produkcyi zachowała się spokojnie. Je-

dnocześnie ukazał się na arenie, kłaniając się na wszystkie strony, młody chłopiec, ubrany w trykotowy strój pływacki, z wyhaftowaną na piersiach trupią głową. Na dany znak wyciągnięto nurka na mały pomost, umieszczony pod samą kopułą cyrku, a salą wypełnioną po brzegi, zaległa grobowa cisza. Oczy widzów skierowały się ku śmiałkowi, więcej wrażliwi opuścili salę.

Na zapytanie skoczka, czy wszystko gotowe, odpowiedź brzmi: „tak". Skoczek jednak waha się chwilę, a bywalcy cyrkowi sądzą, że to tylko granie na nerwach publiczności. Bystre oko widza może jednak dostrzedz, że skoczek drży cały, co jest łatwem do wytłomaczenia, gdyż najmniejsze zboczenie grozi mu niechybną śmiercią, ponieważ bazen, w głąb którego skacze z takiej wysokości, ma grube dębowe ściany. Wreszcie złożył dłonie, wysunął naprzód głowę i rzucił się z wysokości. Wśród ciszy, w której było słychać bicie serca wyczekującej publiczności, rozległ się głuchy łoskot! Nieszczęśliwy upadł nie w środek basenu, lecz na sam brzeg drewnianego obramowania, o które roztrzaskał sobie głowę.

Zebraną publiczność opanowało nie dające się opisać wrażenie. Część rzuciła sie ku wyjściu, reszta ku miejscu wypadku. Nieszczęśliwego przeniesiono do garderoby, a lekarz pogotowia stwierdził strzaskanie kości pacierzowej oraz wstrząśnienie mózgu. Natychmiast przewieziono go do szpitala św. Rocha, gdzie w kilka minut zakończył życie.

Stwierdzono, że domniemany ów Anglik jest Warszawianinem, nazywa się Jan Kazimierski i liczy lat 23. Po burzliwej przeszłości, która naraziła go na kilkakrotne zatargi z władzami, wstąpił w szeregi statystów teatru Kwaśniewskiego, później zaś zaczął się popisywać śmiertelnym skokiem w Warszawie i Rosyi. Występów u Cinisellego pragnął jako reklamy mającej mu otworzyć wstęp do cyrków zagranicznych.

Na kilka godzin przed występem, sam przygotował wszystko do skoku, niepotrzebnie tylko bezpośrednio przed wyjściem na arenę odwiedzał podobno bufet, co mogło wpłynąć na utratę równowagi.



**Niefortunny admirał:** Zmarły admirał Z. P. Rożestwienskij, który przegrał bitwę pod Cuszimą.

## Armia padyszacha.

Turcya, którą przyzwyczailiśmy się w Europie nazywać „chorym człowiekiem", czyni w ostatnich latach wszystko, co może, aby zadać kłam temu określeniu. Nie mówiąc już o konstytucyi, która tak niespodziewanie została zaprowadzoną w państwie Abdul Hamida, dają się w Turcyi spostrzegać na wielu polach usiłowania, zmierzające do reform i do wykorzystania urządzeń zachodnio-europejskich.

W obecnej sytuacyi musi rządowi tureckiemu zależeć — między innemi — na posiadaniu dobrze zorganizowanej, umiejętnie wyćwiczonej i odpowiednio uzbrojonej armii, bo jeżeli kiedy, to teraz państwo Osmanów zagrożone jest w swej egzystencyi przez wrogów jawnych i ukrytych, a na tak zwanych przyjaciół, jak n. p. Anglia, nie może wiele liczyć. Zrozumiał to dobrze Abdul Hamid i już przed dwudziestu pięciu laty, rozpoczął na wielką skalę zamierzoną reorganizacyę armii tureckiej, upatrzywszy sobie na jej instruktorów oficerów armii pruskiej. Wtedy to przeszedł na służbę turecką pruski generał Goltz wraz z całym zastępem pruskich oficerów z rozmaitych gatunków broni.

Pierwsze widoczne a dodatnie wyniki reform wojskowych, które udało się im przeprowadzić, okazały się podczas wojny w 1897 roku, gdy armia turecka przy bardzo niewielkim wysiłku rozbiła w puch Greków. Zachęcony takimi rezultatami, nie ustawał Abdul Hamid w kształceniu na sposób europejski swej armii, z której, powiedziawszy nawiasem, wyszli najtężsi propagatorzy ruchu młodotureckiego, będącego ojcem konstytucyi. Na wszystko mogło rządowi tureckiemu brakować pieniędzy — ale na opłacenie zagranicznych instruktorów, na sprawienie nowych dział, karabinów, amunicyi itd. moneta zawsze się znalazła.

Nasze ryciny przedstawiają kilka scen z życia wojskowego obecnej doby w Turcyi. Pokazuje się z nich, że armia padyszacha ćwiczona jest na sposób armij europejskich, i że zbliża się do nich umundurowaniem i rynsztunkiem. Nawet krytykę i omówienie zakończonych ćwiczeń przedstawia obrazek tak dobrze znany tym, co kiedykolwiek dostali się z własnej ochoty, lub niedobrowolnie, w szeregi synów Marsa.



**Skutki katastrofy:** Żołnierze włoscy w czasie akcyi ratunkowej.



**Zgon zasłużonego księgarza:** Śp. Jan Fischer, zmarły w ubiegłym tygodniu w Warszawie.

## Zgon zasłużonego księgarza.

W ostatnich czasach śmierć zbiera obfite żniwo. I znowu mamy do zanotowania bolesną stratę, jaką poniosła Warszawa.



**Pierwszy kurs dla lustratorów straży pożarnych:** Grupa uczestników kursu we Lwowie.

Dnia 25 stycznia b. r. około godziny 7 rano zmarł na paraliż serca znany w szerokich kołach Warszawy ś. p. Jan Fiszer, właściciel księgarni na Nowym Świecie. Po ukończeniu szkół średnich w Rewlu, wstąpił z zamiłowania do zawodu księgarskiego i przez lat dwadzieścia był współpracownikiem znanej firmy wydawniczej Gebethnera i Wolfa. W roku 1898 założył ś. p. Fiszer własną księgarnię na Nowym Świecie, którą jako wytrawny fachowiec prowadził z wielkiem powodzeniem. Obok dzieł lekkich, wydawał sporo dzieł treści poważnej, czem niemało przyczynił się do rozwoju ojczystej literatury. Sumienne i gorliwe pełnienie obowiązków zawodowych, uprzejmość w stosunku do klienteli i troskliwość o dobro podwładnego personalu, zjednały ś. p. zmarłemu ogólne uznanie. Zmarł w sile wieku, w chwili zgonu liczył bowiem dopiero 47 lat życia.



**Skutki katastrofy:** Straszliwe odkrycie.

W bieżącym numerze podajemy portret przedwcześnie zgasłego cichego a zasłużonego pracownika.

## Nadużycia w warszawskim magistracie.

Takie skomplikowane organizmy, jakiemi są wielkie miasta, wymagają od tych, którzy nimi rządzą, oprócz fachowych wiadomości, także uczciwości nieposzlakowanej, jeżeli ich administracya ma być bez zarzutu. Tam, gdzie zaprowadzony jest samorząd, wykonywany pod nieustanną kontrolą publiczną, zadanie administracyi miejskiej jest o wiele łatwiejsze, bo nieuczciwi urzędnicy mają mniejszą sposobność do nadużyć.

Inaczej przedstawia się sprawa administracyi w tych miastach, gdzie nie istnieje samorząd, jak tego mamy przykład na Warszawie, która doczekała się swej „panamy magistrackiej". Dzięki energicznej kompanii, jaką podjęły pewne organa prasy warszawskiej, pokazało się z okazyi wyciągniętej na światło dzienne sprawy zakupna lasku młocińskiego, że magistrat m. Warszawy rządzi w sposób, przynoszący korzyść nie mieszkańcom miasta, ale rządzącym i to bardzo poważną korzyść materyalną.

Sfery rządzące w Petersburgu zainteresowały się mocno odkryciem prasy warszawskiej, a prezydent ministrów Stołypin ma już w swem ręku cały materyał, rzucający jaskrawe światło na nadużycia pojedynczych członków warszawskiego magistratu.

Jakie konsekwencye stąd wynikną łatwo się domyśleć. Już co najmniej znaczna część skompromitowanych urzędników będzie usuniętą ze służby — jeden z nich, Miłobędzki, odebrał sobie już życie, uprzedzając dochodzenia sądowe — a stanowisko prezydenta miasta p. Litwińskiego, którego portret podajemy, zostało mocno zachwiane. Wedle doniesień pism petersburskich ma on zostać mianowany naczelnikiem jednej z gubernij wewnętrznych Cesarstwa.

## Skutki katastrofy.

Na wielkiem cmentarzysku, jakiem się stały kwitnące jeszcze niespełna temu miesiąc okolice Messyny, Palmi, Reggio di Calabria i t. d., powoli zaczyna powracać życie. Akcya ratunkowa co do ludzi zagrzebanych pod gruzami została ukończona. Warto przytem zaznaczyć, że udało się uratować kilka osób, które przeszło dwa tygodnie były odcięte od świata, bez jedzenia i napoju, a w dniu 26 b. m. odkopano 80-letniego starca, którego, zdaje się, będzie można utrzymać przy życiu. Ile tam rozegrało się strasznych dramatów, ile nieszczęsnych istot ludzkich wyczekiwało w najwyższej rozpaczy na ratunek, który nie nadszedł w porę — nigdy nie będziemy wiedzieli. I tych, co zginęli odrazu w dniu 28 grudnia i tych, co powoli konali pod gruzami, pokryła wspólna mogiła.

Obecnie akcya ratunkowa skierowana jest do zatarcia skutków katastrofy, które dotykają tych, co ją przeżyli. A więc ranni pielęgnowani są na miejscu i po rozmaitych miastach włoskich, dalej rząd buduje dla mieszkańców miast zburzonych baraki z drzewa na chwilowe mieszkania, wreszcie wyszukiwane są trupy z pomiędzy gruzów, a gruzy same usuwane, aby zrobić miejsce dla nowych budowli, które w przyszłości zostaną wzniesione. Prowadzonem jest także na wielką skalę — wydawanie żywności i odzieży pomiędzy nieszczęśliwych, którzy pozbawieni zostali wszystkich środków do życia i którym wprost grozi śmierć z głodu i zimna.

Szereg rycin, jakie podajemy w dzisiejszym numerze, dokładnie ilustruje skutki strasznej katastrofy oraz przebieg akcyi ratunkowej, utrudnionej przez słabsze, lecz powtarzające się ciągle trzęsienia ziemi i ciągłą niepogodę.

## Maurycy Rosenthal.

Na punkcie techniki fortepianowej zapanowała od pewnego czasu produkcya specyalnych talentów, mogących śmiało rywalizować z pianolą lub z jakim innym przyrządem, służącym do naśladowania techniki wirtuozowskiej, doprowadzonej do niemożliwości. Obecnie każdy niemal wirtuoz-pianista jest skończonym technikiem, dla którego trudności techniczne są igraszką i środkiem do osiągnięcia artystycznego efektu. Są jednak w gronie największych artyści, władnący wyjątkową techniką, a do tych za liczają Maurycego Rosenthala, wirtuoza, który wyjątkowem stanowiskiem wśród pianistów cieszy się od lat wielu, tak, iż w swoim czasie nie wahano się dawać mu pierwszeństwa po Rubinsteinie.

Rosenthal, jako Lwowianin (ur. 18 grudnia 1862) jest naszym ziomkiem, tym milszym nam, iż mimo długoletniego pobytu w Wiedniu i pracy wśród obcych, dotąd nie zapomniał ojczystego języka (tak jak Leszetycki) i w stosunkach z rodziną stale się nim posługuje. Początki nauki pobierał w konserwatoryum lwowskiem u ucznia Chopina, Karola Mikulego. Wystąpiwszy w młodzieńczych swych latach kilkakrotnie we Lwowie i Krakowie, oddał się kierownictwu Jakóba Joseffy'ego, a następnie studyował u Liszta. Karyerę koncertową w szerszym zakresie rozpoczął bardzo wcześnie, zapisując w swoim raptularzu artystycznym, nader życzliwe, a nawet entuzyastyczne przyjęcia publiczności całej Austryi i jej pięknej stolicy nad modrym Dunajem, a nadto publiczności Paryża, Drezna, Berlina, Frankfurtu, Lipska, Monachium itd. Baczniejszą uwagę prasy oraz pianistowskiego świata zwrócił na siebie Rosenthal dopiero po świetnie odbytem turnée amerykańskiem w r. 1890, po którem stanął w rzędzie największych potentatów gry fortepianowej. Odtąd też, kiedy mowa o największych pianistach świata, kiedy padają nazwiska takie jak Paderewski, Godowski, Raul Pugno, Hamburg, znaleść się musi tam także i Rosenthala, którego gra, jak zgodnie twierdzą referaty znawców, posiada obok siły pełnej iście męskiego wdzięku i wielkiej dystynkcyi, wiele cech marzycielskiej, niemal kobiecej delikatności. Byłyżby to może echa cudnych, poezyi pełnych uderzeń chopinowskich, przeszczepionych marzycielsko usposobionemu niegdyś chłopięciu przez pierwszego jego mistrza gry fortepianowej Mikulego, ucznia wielkiego Chopina? U nas dawno już nie słyszeliśmy znakomitego pianisty. Nie składały się na to nasze stosunki muzyczne, sam zaś artysta, pracując wśród obcych, nie mógł pomyśleć o odwiedzinach, odkładając je do lepszych czasów. W piątek usłyszymy Rosenthala dzięki Dyrekcyi koncertów krakowskich.

*Stab.*



Maurycy Rosenthal.

**Pomysłowi oszuści:**



Tojmer Mehemed Ali Ogly.



Helena Gołubowska.



Abdul-Kani Dżufer Ogly.

## Pierwszy kurs dla lustratorów straży pożarnych.

W dniach 20—22 stycznia b. r. odbył się we Lwowie pierwszy kurs dla delegatów okręgowych Związków ochotniczych straży pożarnych, celem wykształcenia uzdolnionych lustratorów. Na kurs ten przybyli naczelnicy i komendanci oddziałów ze wszystkich stron kraju, delegowani przez dotyczące związki okręgowe. Kurs otwarł stosowną przemową naczelnik krajowego Związku Dr. Alfred Zgórski, a program nauki, który w całości wyczerpano, był następujący:

Pierwszego dnia zastanawiano się nad zadaniem, jak należy lustrować straże pożarne, poczem nastąpiły wzorowe ćwiczenia szkolne ze sikawką i drabiną uniwersalną, oraz wykład o utrzymaniu w należytym porządku sikawki i innych przyrządów pożarnych. Drugi dzień obrócono na okazowe ćwiczenia z przyrządami pożarnymi i ratunkowymi, wykonane pod kierunkiem naczelnika p. Żytnego i zastępcy Eliasiewicza, oraz przeprowadzono dokładną lustracyę ochotniczej straży pożarnej w Zamarstynowie. W trzecim dniu zapoznano frekwentantów z wypełnianiem blankietów na sprawozdanie z lustracyi, przeprowadzono rzeczową krytykę sposobu przeprowadzania lustracyi i powtórzono dokładnie cały materyał, przerobiony w czasie kursu.

Szczególnie zainteresowało delegatów przeprowadzenie lustracyi straży pożarnej w Zamarstynowie, którą uskutecznili członkowie kursu pp. Górski, Nolting i Frühauf, wszyscy zaś inni śledzili bacznie jej przebieg, aby zebrać materyał do przeprowadzić się mającej w trzecim dniu fachowej krytyki sposobu prowadzenia lustracyi.

Przy tej sposobności wyłoniło się kilka wniosków, które uczestnicy zjazdu oddają Związkowi krajowemu z prośbą o rozpatrzenie i stosowne załatwienie.

Krajowy związek ochotniczych straży pożarnych ma nadzieję, że kurs ten ujednostajni sposób prowadzenia lustracyi i pchnie tę ważną sprawę na właściwe tory.

Kierownictwo kursu, którego grupę uczestników podajemy w bieżącym numerze, spoczywało w doświadczonych rękach p. Antoniego Szczekowskiego.

## Niefortunny admirał.

Wódz, któremu łaskawe losy pozwoliły uwieńczyć skronie wawrzynem, budzi zazdrość u współczesnych, a zaskarbia sobie pochlebną pamięć u potomnych. Za życia odbijają się o jego uszy hymny pochwalne, po śmierci stawiają mu pomniki, historya zaś zapisuje jego nazwisko ku wiecznej pamięci. Jakżeż różnem jest od tego obrazu położenie dowódcy, którego nazwisko tkwi w pamięci współczesnych, jedynie z racyi klęsk, jakie poniósł czy to z własnej winy, czy też z powodu nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Do takich niefortunnych wodzów należał kilka dni temu zmarły admirał Zenobiusz Piotrowicz Rożestwienskij, którego nazwisko związane zostało na zawsze z klęską, jaką poniosła flota rosyjska pod Cuszimą od Japończyków, a którego portret obok podajemy.




**Próba wynalazku:** Wynalazca Strzałkowski wraz z swoim przyrządem do opalania pieców ropą.

W innych okolicznościach i nie na tak odpowiedzialnem stanowisku zmarły, byłby prawdopodobnie zostawił po sobie pamięć odważnego marynarza. Z chwilą jednak, gdy spadło nań szalenie trudne zadanie przeprowadzenie floty bałtyckiej na wody Azyi wschodniej, okazało się, że nie dorósł do niego. Przedewszystkiem brak praktyki, przeważną bowiem część lat służby spędził w kancelaryach ministerstwa marynarki, był dań w czasie swej pamiętnej podróży, trwającej kilka miesięcy i podczas bitwy pod Cuszimą fatalnym.

Jeden tylko rys wyróżnia go dodatnio od innych wyższych dowódców rosyjskich, którzy ponieśli także klęski od Japończyków, a mianowicie to, że wziął sam na siebie całą winę przynajmniej, nie składając jej na podwładnych, jak to n. p. uczynił gen. Kuropatkin w swych pamiętnikach.

## Próba wynalazku.

Jak wiadomo, ropa naftowa stanowi jeden z głównych produktów górnictwa galicyjskiego, lecz skutkiem zagranicznej konkurencyi i nadmiernej w ostatnich czasach produkcyi, spada nader w cenie. Wobec tej zniżki prawie nie opłacają się koszta jej wydobywania, to też z uznaniem podnieść należy każde usiłowanie, ułatwiające jej zbyt w stanie surowym.



**Galicyjski Rinaldo:** Andrzej Kurek, domniemany morderca Stoffów.

W bieżącym tygodniu w jednej ze sal Pałacu Spiskiego wykonał wobec zaproszonych gości pan Strzałkowski próbę swego wynalazku, umożliwiającego opalanie ropą pieców pokojowych i kuchennych. System p. Strzałkowskiego polega na doprowadzaniu ropy do żelaznej puszki, umieszczonej na palenisku pieca i początkowo rozgrzanej. Ropa, spływając rurką z rezerwoaru umieszczonego w oddaleniu około 1 metra od pieca, gdzie zostaje pod ciśnieniem powietrza, ulatnia się i kilku płomieniami ogrzewa wnętrze pieca lub blachę kuchenną. Dopływ ropy można dowolnie zapomocą kurka regulować.

Niebezpieczeństwo eksplozyi jest stanowczo wykluczone, w czasie próby starano się ją sztucznie spowodować, co się jednak nie udało.

Zastępstwo tego pożytecznego wynalazku, którego odbitkę w bieżącym numerze pomieszczamy, objął na Kraków p. Brożek. System ten nadaje się szczególniej do celów przemysłowych.

## Pomysłowi oszuści.

Łatwowierność ludzka nie ma granic. Wiedzą o tem oszuści rozmaitego gatunku i wyzyskują tę ułomność swoich bliźnich na rozmaite sposoby, przynoszące nieraz zaszczyt ich pomysłowości.

W tych dniach np. udało się policyi łódzkiej wyłowić trójkę oszustów, których podobizny podajemy w dzisiejszym numerze, a operujących bardzo prostymi ale skutecznymi środkami. A mianowicie dwaj Persowie: Abdul Kahi Dżafert Ogly i Tajmur Mehemed Ali Ogly wraz z niejaką Heleną Gołubowską, oszukiwali łatwowiernych w ten sposób, że zajmowali się sprzedażą rzekomego „skarbu“. Składał się on z monet niby złotych, umieszczonych w woreczku napełnionych ziemią, a okrytych kurzem i pleśnią. Oszuści, jako wzór, mieli przy sobie prawdziwe monety złote starego stempla, n. p. stare półimperyały i te pokazywali chęć kupna mającym, twierdząc, iż w woreczku znajdują się takie same monety. Sprzedawali zaś ten „skarb“ tanio i ukradkiem pod pozorem, że znaleźli go w ziemi i że boją się, aby na rzecz rządu nie został skonfiskowany.

Ile osób w ten sposób oszukali, sprzedając zwykłe monety miedziane za złote — dokładnie niewiadomo. W każdym razie musi ich być spora liczba, skoro czas pewien mogli uprawiać z powodzeniem swój oszukańczy proceder.

## Galicyjski Rinaldo.

Jak doniosły pisma lwowskie, domniemanym sprawcą morderstwa, dokonanego na rodzinie Stoffów, jest znany w Galicyi morderca i bandyta Andrzej Kurek. Krakowska policya jest również zdania, że śledztwo prowadzone w sprawie zamordowania Ferberów w Paczółtowicach, przybrało kierunek nie odpowiedni, dopatrując się sprawców w osobach przemytników z Królestwa, gdyż morderstwa prawdobnie dopuścił się tenże sam Kurek.

Indywidyum to skazane zostało w roku 1907 na śmierć za zamordowanie w Białej policyanta Dietriecha i wieśniaka Hojdysa w Lipniku. Cesarz ułaskawił zbrodniarza, któremu potem zamienono karę śmierci na dożywotnie więzienie. Już jednak w dniu 2 września 1907 zbiegł Kurek z Wiśnicza, gdzie odsiadywał karę z dwoma więźniami Janem Wendusem i Henrykiem Smulskim. Ucieczka ta wywołała wielkie zaniepojenie wśród ludności wiejskiej w okolicy Wiśnicza, wszyscy bowiem trzej zbiegowie znani byli jako niebezpieczni zbrodniarze. Wszelkie poszukiwania za nimi okazały się bezowocnemi, dopiero 8 grudnia przekonano się, że Kurek brał czynny udział w morderstwie spełnionem tego dnia w Czańcu koło Kęt na osobie karczmarza Koniora i tegoż żony. Po tem morderstwie uciekł Kurek prawdopodobnie do Prus, gdzie jak przypuszczają ukradł książkę robotniczą Federakowi i pod tem nazwiskiem wypłynął na bruku lwowskim, gdzie dopuścił się morderstwa na osobie Stoffów.

Że morderstwa tego rzeczywiście on się dopuścił, stwierdzono na podstawie fotograffi, nadesłanej z Wiśnicza do Lwowa. W tęgim blondynie o owalnej twarzy, cerze żółtej i grubych wargach z blizną na tylnej części czaszki rozpoznano byłego służącego, który przez ostatnie 6 tygodni pełnił obowiązki stróża „Stoffów“. Nie czując się bezpiecznym we wschodniej Galicyi, gdzie władze poszukiwały energicznie mordercy, przeniósł się Kurek na stałe na Zachód, nie zmieniając jednak trybu życia i metody.

Są poszlaki, że Kurek w ostatnich czasach przebywał w okolicy Krzeszowic, Wadowic i Białej, trudno zaś przypuścić, aby osobnik moralnie zwyrodniały, zmienił dotychczasowy tryb życia, do którego przywykł od młodości. Nasuwa się też podejrzenie, czy przypadkiem Kurek nie był sprawcą morderstwa popełnionego w Porębie Żegocie na osobie Marcinkowskiej.

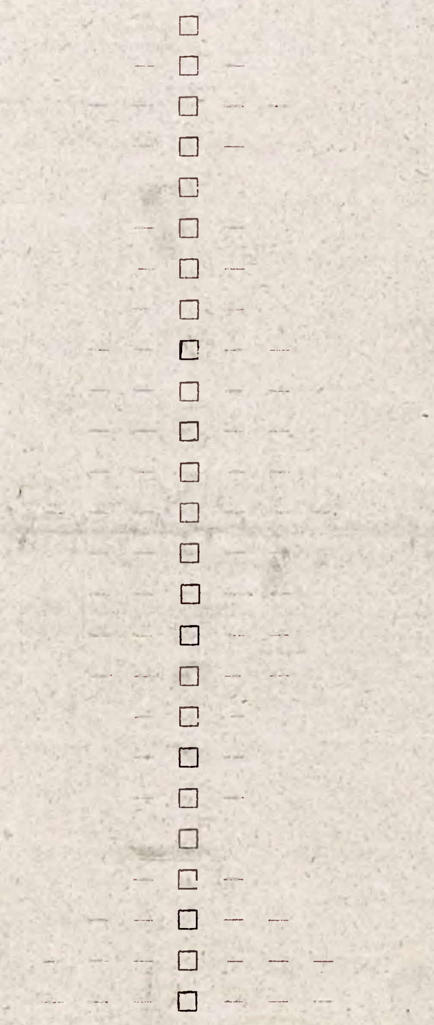
Dziwić się wypada, że zuchwałemu zbrodniarzowi, który słuszniemo że być porównany ze słynnym bandytą Rinaldinim, udaje się dotąd ukrywać przed wymiarem sprawiedliwości.

## Zagadki do nagrody.

### LOGOGRYF.

Ułożył L. Löwner, Janów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Środkowe litery, czytane z góry na dół dadzą nam wydarzenie, które niedawno grozą przejęło cały świat.



*Znaczenie wyrazów:* 1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Taniec. 4. Ptak drapieżny. 5. Spółgłoska. 6. Ryba. 7. Tytuł turecki. 8. Spójnik. 9. Utwór Słowackiego. 10. Miasto portowe w Normandyi. 11. Wół żyjący dziko w Ameryce. 12. Miasto w Afryce. 13. Szczyt w Beskidzie wschodnim. 14. Zwierzę przedpotopowe. 15. Materyał budowlany. 16. Inaczej współzawodnik. 17. Nabiał. 18. Imię żeńskie. 19. Rodzaj zębów. 20. Zwierzę domowe. 21. Spółgłoska. 22. Imię żeńskie. 23. Utwór Kochanowskiego. 24. Instrument muzyczny. 25. Inaczej szmata.

### ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożył J. P. Kołomyja.

Podane niżej wyrazy tak poprzestawać, by ich środkowe litery dały nazwę miejscowości galicyjskiej znanej z przemysłu:

Dla, ami. dwa, iwa, och, gil, lin, doń, las, jeż.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Elizy Orzeszkowej: **„Argonauci“**, powieść 2 tomy.

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 3.

**Szarada:** Konopnicka.

**Łamigłówka matematyczna:**

| | | |
|---|---|---|
| 2 | 9 | 4 |
| 7 | 5 | 3 |
| 6 | 1 | 8 |

**Kwadrat magiczny:** banan, Agata, nader, Atena, naraz.

**Arytmograf:** Karol Estreicher.

*Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.:* B. Mieczkowski Kraków, W. Laskowski Wazszawa, B. Składowski Kraków, J. Augustynowicz Żywiec, A. Polończykowa Żywiec, J. Grzębski Tarnopol, J. Orłowski Lwów, A. Kudła Tapin, Z. Ciechanowski Stary Sambor, D. Papée Lwów, O. Steiner Drohobycz, N. Kochańska Kobylanka, E. Gottwald Strusów, M. Opolska Czarny Dunajec, D. Wisłocki Nowy Sącz, J. Bochniak Mokrzyszów, J. C. Warszawa, Z. Giżycki Warszawa, K. Juskiewicz Gwoździec, K. Fuchs Czeremchów, T. Stojanowski Przemyśl, S. Danziger Osiny, H. Mokrzycka Romanówka, W. Ausländer Kraków, E. Tyszarski Drohobycz, A, Nikosiewiczowa Krzywe, S. Łaszkiewicz Dębica, Ł. Witek Mościska. M. Serbeńska Budzanów, J. Biernacki Warszawa, S. Kawecki Husiatyn, M. Andzejewska Nowa Wieś, S. Cześnikiewicz Kraków, O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, K. Brzostowicz Tarnopol, W. Gidliński Rzeszów, S. Wajda Lwów, H. Chodkiewicz Warszawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **J, Grzębski** Tarnopol. Upraszamy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*WP. O. O. Lwów.* W rozlosowaniu nagród za rozwiązanie zagadek, umieszczanych stale w numerach naszego pisma, mogą brać udział nie tylko prenumeratorowie, lecz i wszyscy Czytelnicy. Wyjątek stanowią wielkie szarady konkursowe.

## Z półek księgarskich.

W setną rocznicę urodzin **Juliusz Słowacki,** żywot i wybór pism przez Dr. Konstantego Wojciechowskiego, z 10 rycinami, cena 1 Kor. Lwów Biblioteka Macierzy Polskiej Nr. 45.

W roku Słowackiego wydała Macierz Polska we Lwowie powyż przytoczone dziełko, napisane nader przystępnie, rzeczowo i zajmująco. — Dołączono wybór z pism Słowackiego, zebrany nader starannie i umiejętnie.

**Biblia, to jest Księga święta starego i nowego testamentu** w przekładzie polskim ks. Jakóba Wujka, z tektsem łacińskim Wulgaty. Przekład polski poprawił i nowym komentarzem opatrzył X. Franciszek **Albin Symon,** Arcybiskup Mikołów-Warszawa. Nakład Karola Miarki.

Ponowne wydanie tłómaczenia Biblii dokonanego przez ks. Wujka przed 300 laty, spotyka się z ogólnem uznaniem, gdyż brak jej dawał się uczuwać dotkliwie. Za gwarancyę może służyć nazwiska ks. Symona, niepospolitego znawcy Pisma św. jakoteż języków. Firma wydawnicza dołożyła starań aby szata zewnętrzna i niska cena przyczyniły się do rozpowszechnienia wydawnictwa, zasługującego ze wszechmiar na poparcie.

## Głosy publiczne.

W programie od piątku dnia 29 bm. do czwartku dnia 4 lutego, między innymi bardzo pięknemi obrazami danym będzie senzacyjny obraz p. t.: „Ślady krwi“.

Dramat ten granym był w teatrze Renaissance w Paryżu przez pierwszorzędnych artystów: Pp. Sevorin i Max Dearly i panny Mistinguette i Napierkowską.

Obraz ten jest oryginalnem artystycznem zdjęciem ze sceny.